

H. Sterling

ZE STAREGO AUTORAMENTU.

Józef Dunin-Karwicki.

Ze starego autoramentu.

TYPY I OBRAZKI WOŁYŃSKIE.

SERYA DRUGA.

WIELKA PANI POLSKA. — MARSZAŁEK POWIATOWY. — KSIĄDZ
KAPELAN. — ORGANISTA. — LEKARZ NADWORNY. — FURMAN.
DAWNY KUPIEC LEŚNY. — POBEREŻNIK (GAJOWY). — ARENDARZ.
MISZURES.



WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
A. G. DUBOWSKIEGO.

30. Chmielna 30.

1900.


K-20/88



102572

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Декабря 1898 года.

WIELKA PANI POLSKA.

wyczejnie przywiązują u nas do tytułu wielkiej pani pojęcie o dawnej matronie polskiej. Jest to jednak zupełnie mylnem, gdyż owe wielkie panie nasze, które tu właśnie mam na myśli, bynajmniej nie były matronami polskimi w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Jako córki matek żyjących i świecących na zepsutym świecie warszawskim za czasów Stanisława Augusta, nie miały one nic, a w każdym razie bardzo mało polskiego w sobie, bo ich wychowanie, równie jak zwyczaje ich matek, były na wskrós cudzoziemskie, przeważnie francuskie. Bynajmniej nie czują się na siłach odtworzenia typu dawnej, surowej, bohaterskiej pani polskiej z wieków poprzednich, która z suchem okiem,

lęcz z boleścią w sercu, jakby spełniając swój przyrodzony obowiązek, wyprawiała męża lub synów na wojnę szwedzką, albo turecką, lub gdzieś na kresy dla nieustannej walki z Tata-rami, a sama tymczasem energicznie zarzą- dzała rozległemi dobrami i strzegła na zamku lub we dworze wiejskim odwiecznego ogniska domowego. O takich pięknych typach kobie- cych naczytałem się wprawdzie we współcze- snych pamiętnikach i powieściach historycz- nych, lecz dla mnie zupełnie nie jest to wy- starczającym. Barwniej i dokładniej opisuje się to, na co się własnymi oczyma patrzyło i co się sercem odczuwało. Trzymam się też tej zasady przy kreśleniu niniejszych typów i obrazków, mających odtwarzać przeszłość.

Tu więc mam na myśli, jako wielkie pa- nie polskie ze starego autoramentu, te właśnie damy z ostatnich lat XVIII-go i pierwszych XIX-go wieku, które temu lat kilkadziesiąt sam jeszcze znałem, jako staruszki, w czasie mego dzieciństwa i mej młodości. Wiele z nich, do- żywając późnego wieku, zdaje się niedawno, jedna po drugiej zeszły z tego świata, tak, że dziś, dobrze się obliczywszy, wątpię, czy która z tych wielkich pań dotąd jeszcze żyje, tak

w kraju, jak i poza jego granicami, gdyż nie- jedna z nich na stare lata tam osiadła. Szczególnie ostatnie lat kilkanaście z nieubłaganą surowością przeredziły liczbę tych pięknych i imponujących typów kobiecych, które nieza- przeczenie dawały nam pojęcie o zupełnie in- nej epoce.

Były to więc zupełnie inne typy, wyró- żniające się od naszych dam dzisiejszych. Naj- bardziej w nich uwydatniało się to, że pierwot- ne ich wychowanie, prawie od niemowlęstwa, i całe ich późniejsze wykształcenie były na wskrós francuskie, co się wydatnie odbijało w późniejszym ich życiu. Trudno temu obe- cnie wierzyć, lecz babki i matki nasze wszystkie swe modlitwy odmawiały po francusku, o czym świadczą pozostałe po nich książki do nabo- żeństwa; w tym języku odbywały spowiedź i spisywały nieodzowny rachunek sumienia (*examen de conscience*), ściśle im zalecany przez spowiedników (*directeurs spirituels*), rekrutują- cych się w licznym zastępie francuskich księ- ży, t. zw. pospolicie labusiów, którzy razem z rojalistowską emigracją w owej epoce cały kraj napelnili. Wszak w Dubnie, dzięki przy- tułkowi, udzielonemu przez cesarza Pawła, miał

sobie naznaczoną przez lat kilka konsystencyę główny sztab armii t. zw. Kondeuszowskiej, przy której czepiało się wielu panów francuskich, noszących najbardziej arystokratyczne historyczne nazwiska, a za nimi mnóstwo owych labusiów, bardzo przychylnie podejmowanych po tutejszych domach polskich. Niejeden z tych francuskich księży pozostał w domu pańskim w gub. Wołyńskiej jako nadworny kapelan, udzielający dzieciom lekcyi literatury, a szczególnie, jak to wówczas zwano, dobrej pronuncyacyi francuskiej. Sądząc jednak ze wszystkiego, pożał się Boże owych lekcyi! Oprócz prawdziwego akcentu paryskiego, dzieci niewiele z nich korzystały, bo większość owych labusiów bynajmniej nie odznaczała się gruntownym wykształceniem. Pozostały jednak i nadal, jako pamiątki owych czasów, katechizm francuski w pytaniach i odpowiedziach i wierszowane dziesięcioro Bożego przykazania, których się sam jeszcze w mem dzieciństwie uczyłem, oraz francuskie spowiedzi naszych babek i matek, do których mimowolnie tak się przyzwyczyły, że długo jeszcze potem szukały spowiedników owej narodowości. Dlatego to bardzo dobrze pamiętam, że l'abbé Chevalier, ka-

pelan sapiieżyński w Krasilowie, pozostały tam do końca czwartego dziesiątka tego stulecia, był w takiej wziętości u dam wołyńskich.

Pierwotne wychowanie, oparte na podobnym gruncie, samochcąc odbijało się i w dalszem życiu. Ówczesne panie korespondowały nie inaczej, jak po francusku; w tym języku spisywały sobie w osobnych seksternach t. zw. *extrait de lecture*, to jest streszczenie przeczytanych, naturalnie francuskich książek, przeważnie romansów Balzaka, Fryderyka Soulié i innych współczesnych autorów, a później A. Dumasa ojca i Georges Sanda, zaczynających powoli wchodzić w modę. Nie przeczę, że spisywanie streszczeń z owych literatur było bardzo chwalebny zwyczajem, wprowadzonym przez ówczesnych metrów literatury francuskiej, lecz żadnej z naszych pań ówczesnych nie przyszłoby na myśl pisać to w języku rodzinnym. Wszakże pamiętniki Anny z Tyszkiewiczów Potockiej, *secundo voto* Wąsowiczowej, wydane w r. 1896 w Paryżu i odnoszące się właśnie do owej epoki, którą pod wielu względami znakomicie uwydatniają, w oryginalnie napisane były przez samą autorkę po francusku. Abonowano po tutejszych domach «Le

Voleur,» a jako pismo polityczne «Journal des Débats.» Poważniejsi panowie prenumerowali «Allgemeine Zeitung,» z której czerpali swe wiadomości polityczne, nadzwyczaj spóźnione przez wadliwy ówczesny system pocztowy. Żadna jednak pani nie dotknęła się gazety polskiej, wątpiąc, aby się mogło co interesującego drukować w tym języku, gdyż ze wstydem trzeba to powiedzieć, że polska literatura nie sprawiała im najmniejszej satysfakcyi; uczuwały one bowiem pewną trudność w pisowni polskiej, a szczególnie w ułożeniu choćby krótkiego listu polskiego, jak się nadarzyła im kiedyś nagła tego potrzeba. Powiem więcej, że znałem nawet mężczyzn, odbierających w owej epoce pierwotne elementarne wykształcenie francuskie, którzy później, już w starości, gdy się zupełnie zmienił duch czasu, mieli trudność w zredagowaniu czegoś poważniejszego w języku rodzinnym, gdyż zwroty u nich były nie polskie, lecz zupełnie francuskie. Potajemnie więc układali sobie brulion francuski i z wielkim mozolem starali się go na język polski przełożyć, co nie zawsze dobrze się im udawało. Sami się tego przed sobą i przed ludźmi wstydzili. Wyraźnie więc, że przyzwyczajenie

jest drugą naturą, a znane orzeczenie, poczynające się od słów: «Czem skorupka nasiąknie za młodu,» jest wielką i niezaprzeczoną prawdą. Język bowiem rodzinny jest to nieoszaczana skarbnica, z której dzieci od najmwcześniejszych lat czerpać powinny; inaczej niechybnie odezwie się to w dalszem ich życiu.

W owym czasie, o którym tu mówię, zaczęły się zaledwo pokazywać w kraju niektóre literackie utwory Henryka Rzewuskiego, «Pielgrzymka do ziemi świętej» ks. Hołowińskiego, «Spekulant» i «Kollokacya» J. Korzeniowskiego; chociaż te ostatnie powieści uważały nasze panie jako *mauvais genre*, wulgarne, dobre dla folwarku, lecz nie dla salonu. J. I. Kraszewski, występujący w owym czasie ze swemi pierwszymi powieściami, opartemi na tle ludowem, okrzyczany był wówczas jako demokrata, niemal jako demagog, choć później w lat kilkanaście nie było domu, w którymby najświeższa powieść Kraszewskiego nie znalazła się na stoliku salonowym damy tutejszej. Przyznać bowiem należy, że on przeważnie zaszczerpił wśród naszych pań zamiłowanie do książki polskiej, wogóle do literatury ojczystej. Niemniej w latach następujących zaraz po 1831

roku, rzadko która z nich czytała utwory poetyckie, jedne po drugich naówczas wydawane, naszych poetów: A. Mickiewicza, Z. Krasińskiego, J. Słowackiego, że jeszcze wspomnę o innych poetach, pisujących tak w kraju, jak na emigracyi. Wszakże to było przebudzenie słabo kielkującego wtedy romantyzmu. Zaledwie uczono się na pamięć, powtarzano sobie, lub nucono przy fortepianie mnogie okolicznościowe wiersze. Natomiast każda z naszych pań zachwycała się utworami Lamartine'a, Wiktora Hugo i poczynającego wówczas pisać Musset'a, uczyła się tego na pamięć, tak samo, jak zalecała guwernantce Francuzce uczyć swe dzieci długich tyrad z tragedyi Corneille'a i Racine'a, tolerując zaledwo jaką bajeczkę ks. biskupa Krasickiego.

W tych właśnie czasach gub. Wołyńska była nadzwyczaj rozbawiona. Świetna młodzież przybywała umyślnie z innych stron, dla uczestniczenia w głośnych tutejszych zabawach, gdyż wtedy rok cały był tu jednym festynem. Mnóstwo rodzin, należących do najwyższej rodowej arystokracji (o plutokracji nikt jeszcze wówczas nie słyszał), stale tu w swych wołyńskich dobrach rezydowało, nie wyjeżdżając by-

najmniej na zimę do jakiegoś większego miasta, gdyż towarzystwo w zupełności sobie wystarczało, będąc doborowem, świetnem i bardzo licznem przez napływ młodzieży z innych stron, która tu wesolej zabawy, a nieraz i bogatego ożenku szukała. Huczne, po kilka tygodni trwające kontrakty i karnawały dubieńskie, a następnie przez lat kilka, około 1847 roku, karnawały krzemienieckie, skupiały kwiat towarzystwa w tych dwóch miasteczkach.

Dziś, patrząc na nie, rzeczywiście pojąć trudno, jak w takich lichych zajazdach lub ciasných i niskich dworach podobna było ludziom, ze wszech miar przyzwyczajonym do komfortu, wygodnie mieszkać, znakomicie się bawić, wyprawiając z muzyką świetne bale dla licznego i wykwintnego towarzystwa. Lecz wszechwładna wola naszych pań wołyńskich, żadnych hucznych rozrywek, wprowadziła to w modę i od razu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przemieniała brudne pokoje żydowskich zajazdów w wykwintne salony, przyozdabiając je dywanami, makatami, zwierciadłami, świecznikami, kandelabrami, lampami i t. p., przewiezionemi z pałaców i dworów wiejskich, co wszystko liczna służba z mar-

szalkiem dworu na czele, na jedno skinienie samej pani, gustownie urzędowała. Reszta zaś roku przechodziła na wzajemnych odwiedzinach po wiejskich rezydencyach, do czego dostarczały łatwych do wytłómaczenia pretekstów: uroczyste doroczne święta, z sutemi wigiliami i święconem, spędzane w licznej rodzinie, częste imieniny, obchodzone zawsze z tańcami, muzyką, illuminacją i rozmaitemi siurpryzami, w parku lub ogrodzie na wolnym powietrzu, konne i powozowe spacerki, zakończone podwieczorkiem z mrożoną kawą i lodami gdzieś w sąsiednim lasku, w jesieni zbieranie grzybów, rydzów lub laskowych orzechów przez całe towarzystwo, lub częściej jeszcze szumne polowania, przy współudziale pań, zimną szlichtadą i kuligi z tańcami w kostiumach krakowskich lub tutejszych wołyńskich ludowych i t. p.

Pretekstów bowiem nigdy nie brakło dla ludzi, rzeczywiście chcących się bawić. To ciągle lekkie i zalotne życie, poświęcone li tylko uciechom, to nieustanne obcowanie z gładką młodzieżą, starającą się na każdym kroku damom przypodobać, nadało całemu wiejskiemu obywatelstwu wołyńskiemu owej epoki ja-

kiś dziwny, odrębny, zupełnie rozbawiony charakter, tak jakby zabawy pod wszelkimi formami i postaciami były jedynym celem życia dla mężczyzn i kobiet. Wczytując się we wspomnienia przeszłości, a szczególnie sięgnąwszy myślą w owe lata pierwszej połowy tego wieku, rzeczywiście, że należy sobie zadać pytanie, kiedy ci ludzie zajmowali się swymi przyrodzonymi obowiązkami, bo literalnie nigdy czasu nie mieli, śpiesząc się nieustannie z jednej zabawy na drugą. Dlatego też i obowiązki te bardzo i bardzo szwankowały.

Panowie, dogadzając rozbawionym swym paniom, żyli wszyscy nad stan, nie doglądając administracji swych wprawdzie bardzo rozległych, lecz przeważnie zrujnowanych dóbr, dających wskutek nieładu szczupłe intraty. Uciekali się wręcz do prywatnego kredytu, szeroko dla nich otwartego przez dorabiającą się szlachtę, — a gdy po latach kilku dopominała się o swe sumy, bo i ona za swe uciulane grosze chciała nabyć jaką wioskę, to wtedy panowie wołyńscy zaciągali pożyczki, powszechnie zwane bankowemi, to jest w tak zwanej St.-Petersburskiej Sochronnej Kазnie, jedynej wówczas instytucji kredytowej, udzielającej pożyczek



na hipotekę dóbr, wedle liczby dusz poddań-
czych, na 6% z amortyzacją na 43 lata.

Właściwie więc do owej epoki należy od-
nieść rzeczywisty początek obdłużania, a tem
samem ruiny magnackich i pańskich fortun
wołyńskich, gdyż ich dziedzice, po takim ob-
ciążeniu swych hipotek, nie reformując w ni-
czem wystawnego trybu życia i nie zmniejsza-
jąc swych dworów, prowadzili dalej życie nad
stan, oddając się oprócz tego rujnującej hazar-
dowej grze w karty, na co znowu czerpali z kre-
dytu prywatnego, ponownie dla nich szeroko
otwartego po zupełnem spłaceniu poprzednich
wierzycieli. Mąż zaś, przez fałszywy wstyd,
a być może dla świętego spokoju, nie miał
dość charakteru, aby żonie odmówić cokolwiek
z owego trybu życia, do którego od początku
pożycia małżeńskiego była przyzwyczajona.

Musiała więc pani mieć te same koszto-
wne tualety, tę samą zgrają dworskiej służby,
otaczającej ją, to samo wykwintne utrzymanie
dworu, t. j. kuchni, kredensu, ogrodu z liczne-
mi cieplarniami i oranżeryami, te same ko-
nie wierzchowe i poszóstne cugi z liczną sta-
jenną asystencyą w podróży; zresztą te same
na wsi świetne recepcye, przy każdej zdarzo-

nej okazyi, gdy jej tylko na myśl przyszło coś
podobnego zaprojektować, i t. p. Sama pani
nie rozumiała, albo może nie chciała rozumieć,
że dochody z dóbr w zupełności nie wystar-
czają na podobną egzystencyę i że na opłaca-
nie samych rat bankowych corocznie wypada
mozolnie szukać nowego prywatnego kredytu,
coraz trudniejszego, nie mówiąc już o zaległych
procentach dawnym wierzycielom.

Przed ludźmi zaś mówiła owa pani, że nie
pojmuje złego stanu interesów — i jeżeli on
istnieje rzeczywiście, to przypisuje go jedynie
administracyjnej nieudolności męża i niesu-
mienności plenipotentą. Wszakże ona kamie-
niem siedzi na wsi, ledwie że czasem odwiedzi
krewnych i znajomych, krokiem prawie nie ru-
sza się z domu, gdzie niema potrzeby, jak
w mieście, drogo opłacać za mieszkanie, za
opał, furaże do stajni i zapasy kuchenne. Bo
na wsi wszystko mamy darmo, a służba dwor-
ska nas prawie nic w gotówce nie kosztuje. Nie
napiera się więc przezimowania w stolicy, lub
wojażu do wód zagranicznych, mocno jej zale-
canych przez nadwornego lekarza, bo wie, że
to wszystko drogo kosztuje — i dlatego w swem
własnym sumieniu jest zupełnie spokojna.

Było to więc wzajemne ludzenie się i nieustannie siebie samych okłamywanie co do pozycji majątkowej, coraz bardziej się pogorszącej jedynie z powodu kosztownego życia nad stan na wsi, na co nieustannie narzekano, lecz które znoszono nabyto w widokach oszczędności.

Tymczasem niesumienni plenipotenci i oficyaliści najlepiej na tem wychodzili, łapiąc ryby w tej mętnej wodzie i powoli składając sobie piękne fortunki, gdy dla samych państwa każde dubieńskie kontrakty z roku na rok coraz ciężiej przechodziły; była to bowiem pora do likwidowania zwyczajnych rocznych rachunków i opłacania przynajmniej zaległych procentów wierzycielom.

Wychowanie dzieci niezmiernie szwankowało i wiele pozostawiało do życzenia. Naturalnie, po pierwszym wychowaniu z niemożliwości przez bonę, a raczej piastunkę Polkę, zazwyczaj dawną pannę wyprawną matki samej pani, zaczynało od sprowadzenia do dzieci bony francuskiej z doskonałą pronuncyacją. Ta pozostawała przy córeczce. Do chłopczyka zaś starano się o początkującego nauczyciela Polaka.

Dawni wychowawcy szkół krzemienieckich dostarczali w takim razie zwykłego kontyngensu. Następnie dobierano guwernantkę Francuzkę (*une institutrice diplômée*), nabyto z wyższem wykształceniem. Ponieważ ta zwykle nie miała najmniejszego pojęcia o arytmetyce, a z geografii знаła tylko departamenty samej Francyi, okazywała się niezbędną potrzeba sprowadzenia do dzieci guwernera Francuza, oraz metra Niemca dla praktycznego pouczenia się w tej mowie, tak niezbędnej, gdy tylko nosa wychylisz poza granicę naszego kraju; następnie nauczyciela muzyki, rysunków, chwilowo nawet tańców, tak, że w niektórych epokach dom przeistaczał się w istny zakład pedagogiczny, bardzo kosztowny, któremu jednak wiele można było zarzucić: po pierwsze — dlatego, że wszystkie osoby go składające zupełnie niesumiennie spełniały swe obowiązki, kłócąc się pomiędzy sobą, następnie się godząc, a bardzo często się kochając i nie myśląc przez to o nauczaniu dzieci, — powtóre zaś dlatego, że brakło tu istotnego ducha przewodniego; przyznać to bowiem należy, że ojciec się bynajmniej dotąd nie mieszał. Rola jego była tylko: płacić, płacić i wiecznie

placić, choćby miał z pod ziemi dobyć pieniędzy; a matki, z rzadkimi wyjątkami, nie dość starannie wglądały w to, czego mianowicie i jak dzieci uczono; nieustannie bowiem nie miały chwili wolnego czasu, będąc ciągle zajęte gośćmi i obowiązkami światowymi, zupełnie je absorbującymi.

W owej epoce zajmowano się mężem trochę i to w pierwszych latach pożycia, gdy ten mąż zawsze we wszystkim dogadzał, — światem i zabawami zawsze, a dziećmi prawie nigdy.

Jakim sposobem, a raczej cudem Boskim, z dzieci w ten sposób wychowywanych wyrosło następne pokolenie, bynajmniej nie pozbawione zalet intelektualnych, tego prawdziwie pojąć nie mogę, gdyż widzimy, że wyrósłszy na ludzi, wszystko, co szlachetne i duchowo piękne, gorąco ich zajmuje. Przypisać to należy duchowi czasu, przejściu z klasycyzmu do romantyzmu, owemu kielkującemu renesansowi, który właśnie zaczął się objawiać wtedy, gdy te dzieci na ludzi wyrastały.

Może co do wychowania wydaję tu sąd zanadto surowy, ale wogóle tak było w owej epoce, którą doskonale pamiętam i która, za

stosowana do dzisiejszego zapatrywania naszych pań wołyńskich na spełnianie swych obowiązków względem męża i dzieci, ogromnie traci na porównaniu.

Naturalnie, że były wyjątki i to bardzo liczne, na które sam patrzyłem, ale duch ogólnie panujący był takim, jakim go opisuję. W dodatku i obyczaje były daleko lżejsze, to jest, powiedzmy otwarcie, moralność nieraz wiele pozostawiała do życzenia, co się tłómaczy owym nieustannym wirem i szaleem zabaw światowych i, co za tem idzie, ciągłym zetknięciem się dwóch płci, żyjących obok siebie bez żadnego poważniejszego zajęcia i myślących jedynie tylko o płochej zabawie. Niezaprzeczenie, że i swoboda stosunków, panujących w czasie długich, kilkodniowych, a nieraz i kilkotygodniowych odwiedzin wiejskich, wiele się do tego przyczyniała.

Ale tu przyznać należy, że ówczesne damy wołyńskie posiadały przy wielkiej piękności ten pewien niewysłowiony urok, rzeczywistość trudny do opisania. Urok ten jest jakby przyrodzonym zapachem pięknego kwiatu — i kobieta, posiadająca go, może być pewna swoich sukcesów w świecie.

Trudno i prawie niepodobna, kreśląc z pamięci takie obrazki z przeszłości, mające posłużyć do uwzględnienia życia i obyczajów niedawno minionej epoki, tworzyć nieustannie apologię owych czasów, chwalić wszystko bezwzględnie i kadzić często poprzednikom naszym na tej arenie życia obywatelskiego, którą oni tak miłą i przyjemną dla siebie, nie pomnąc o przyszłości, urządzali, a która dla nas dziś wydaje się tak ciężką i ciernistą.

Nie przeczę, że nikt nie jest w stanie zatrzymać wypadków dziejowych. Ów radykalny przewrót w stosunkach ziemiańskich, który tu nastąpił po 1863 roku, naturalnie że był nieunikniony, ale o ileż on byłby łatwiejszym do przeniesienia, gdyby tutejsza większa posiadłość ziemska nie była obciążoną tak wielkimi długami hipotecznymi, biorącymi przeważnie swój właściwy początek w pierwszej połowie bieżącego stulecia, to jest w epoce, do której stosuje się moje opowiadanie. Jednakże, powiedzmy szczerze, tak smutny ówczesny stan finansowy spowodowany był jedynie nieogłędnym życiem nad stan, złą i niedbałą administracją dóbr i interesów, owym nieustannym szaleństwem i wirami zabaw, obejmujących ca-

łą gub. Wołyńską, czemu przodowały ówczesne panie tutejsze, i słabości charakteru ich mężów, nieumiejących, a może niepragnących niczego żonom odmawiać, bo gustowali w podobnym życiu próżnym i lekkim, a co gorzej, sami się oddawali szalonej grze hazardowej w karty, co też bardzo podkopywało ich fortuny.

Niektóre domy, zwane kawalerskimi, wyżej wspomniane kontrakty dubieńskie, słynne jarmarki berdyczowskie, jarmolinieckie, a nawet kulczyńskie na Przewody, były zwykłym polem popisów dla graczy. W owej epoce wszyscy tu znaleźliśmy kilku sławnych graczy (choć bynajmniej nie szulerów), nieposiadających żadnej fortuny, żyjących wygodnie, a nawet dostatnio, mile przyjmowanych w najwykwintniejszych towarzystwach, którzy się li tylko z kart utrzymywali. Dziś, Bogu chwała, nie widzimy już tu podobnych pasożytów; ten gatunek ludzi zupełnie zaginął. Nie znaleźliby już oni dla siebie pożądanego pola do działania, bo z radością wypada powiedzieć, że tu, w gubernii Wołyńskiej, obecnie rujnujące gry hazardowe w karty kompletnie ustały. Mówiąc krytycznie o wadach, dla czegożby nie

zaznaczyć też pocieszającego zwrotu ku lepszemu?

Niemniej jednak, gdyby nie owe długi hipoteczne, zaciągnięte w jedynym istniejącym w owym czasie banku kredytowym, udzielającym pożyczek na ziemię, to jest w wyżej wspomnianej St.-Petersburskiej Sochronnej Kaznie, sumy indemnizacyjne, przyznane dziedzicom tutejszym po uwłaszczeniu włościan, choć szalenie obniżone po 1863 roku, w stosunku do ich pierwotnego prawnego oszacowania, dostałyby się w każdym razie dziedzicom w całości i w gotówce. Taby z pewnością dało możność im samym, a następnie ich sukcesorom, zakonserwować choć w części stare lasy wołyńskie. Dziś zaś, z bardzo małymi wyjątkami, są one pięknym wspomnieniem niedalekiej przeszłości, gdyż ledwo za dziesiątą część ich rzeczywistego szacunku sprzedane zostały w następnych latach żydom na wyrąb, dla uratowania fortun rodowych od niechybnej publicznej sprzedaży z licytacji w Kijowie w ślad po ogłoszeniu emancypacji włościańskiej. Opisałem to dość szczegółowo w poprzednich szkicach, dlatego wracać nie myślę do tego bolesnego przedmiotu. Powtarzam tylko raz jeszcze, że ko-

sztowne życie nad stan głównie podkopało dobrobyt finansowy poprzedzającego nas obywatelskiego pokolenia i że my dziś skutki tego nadzwyczaj dotkliwie odczuwamy.

Wszystkie me wspomnienia dziecięce, a po części i młodzieńcze, związane są z ową epoką. Trudno mi więc, mimo może ostro tu wyrażonej krytyki, nie przypomnieć sobie tylu pięknych, szlachetnych typów kobiecych, opromieniających owe czasy. W wielu razach i w ciężkich przygodach życia ówczesne panie nasze okazywały więcej charakteru i hartu duszy od mężczyzn. Wspomnę tylko o tych paru przykładach, na któreśmy wszyscy patrzyli, gdy wielkie panie nasze za życia urzędownie dymitowały swe obszerne dobra dzieciom lub nawet dalszym sukcesorom, chcąc im wcześniej stworzyć zupełną niezależność majątkową, opartą na poczuciu własnego, niezaprzeczonego, na prawie i dokumentach dziedzictwa. Każdy przyzna, że była to wielka ofiara z ich strony, do której nic, oprócz serca, ich nie zmuszało. Pozostawały bowiem na rocznym spłacie, naprzód ściśle określonym. Nigdy nie okazały żalu z tak naturalnie spełnionego szlachetnego czynu, a ze swych oszczędności

świadczyły jeszcze wiele dzieciom, krewnym i ubogim. Inne do końca życia, w głębokiej jeszcze starości, były spójnią całej rodziny, która około nich w pewnych epokach roku ze czcią i miłością się skupiała. Wszystkie zaś z popędu własnego serca oddawały się uczynom miłosiernym, były prawdziwymi matkami ubogich, którzy ich zgon najszybciej oplakiwali. Patrzałem sam na to, jak wielka pani nasza, urodzona w książęcym domu, przodującym w narodzie, spokojnie osiadła na starość w klasztorze po wyposażeniu swemi dobrami synów i wydaniu za mąż najmłodszej córki. Nie czuła się już potrzebną na świecie, wolala więc w tem cichem ustroju zupełnie oddać się pobożności, której całe życie, mimo obowiązków światowych, hołdowała. Nie zerwała jednak dlatego ze światem, wychowywała bowiem w klasztorze przy sobie dorastającą wnuczkę sierotę. Dla niej bywała parę razy na tydzień u ukochanego zięcia, ojca tej sieroty, który jeden z całej licznej rodziny otoczył czułą opieką sędziwą matkę swej niedawno zmarłej ukochanej żony i jedynie w tym celu osiadł tuż pod klasztorem.

Owa zacna pani, z wrodzoną sobie niewypowiedzianą dobrocią, łączyła się ze światem, od którego początkowo pragnęła się usunąć, i niejako do samej śmierci pozostała ogniskiem doborowego towarzystwa, które jedynie dla złożenia jej czci i hołdu do miasta się zjeżdżało.

Te dwie wielkie boleści męża i matki wzajemnie się pocieszały, szukając ulgi w religii i w głębokiej wierze. Przyznać jednak należy, że mimo głębokiego smutku, malującego się nieustannie na łagodnej twarzy owej pięknej staruszki, nasza wielka pani polska okazywała więcej hartu duszy i spartańskiej surowości dla siebie samej.

Znałem i takie panie, które wskutek kompletnego zachwiania się interesów majątkowych były nadzwyczaj twarde dla siebie samych, wszystkiego sobie odmawiały i żyły najoszczędniej, bez wypowiedzenia najmniejszej skargi. Taka milionowa pani, pochodząca z jednego z najgłośniejszych rodów w Polsce, przyzwyczajona w domu rodziców, a następnie przez długie lata w domu męża, nie tylko do wielkich dostatków, lecz nawet do niepotrzebnej wystawy, żywiła się w słabości

cienką herbatką i kaszką na mleku, przepędzała wieczory w salonie przy maleńkiej lampce, odziewała się najskromniej, prawie ascetycznie, w grube czarne sukno, skrojone niemal formą sukni zakonnej, podpasanej skórzanym pasem, nosiła proste kozłowe trzewiki,—lecz pod tymi pozorami niemal że ubóstwa wyglądała jak istna wielka pani, jak jaka hetmanowa lub wojewodzina z XVII-go wieku, bo niejako bił od niej blask i majestat rodu, niezaprzeczonej cnoty, połączonej z wielkim rozumem, i głębokiej pobożności, opartej na silnej i niezachwianej wierze.

Mimo więc francuskiego, pozornie powierzchnownego wychowania, które wszystkie te damy za młodu odebrały, były niezaprzeczenie pomiędzy nimi piękne typy i wielkie, hartowne charaktery, godne pozazdroszczenia i naśladowania i w dzisiejszych czasach. Nie rzucamy więc bezwzględnie kamieniem na wszystko, co pochodziło z owej epoki,—nośmy głęboko w sercu piękne postacie naszych wielkich pań polskich, o których tu wspominał, bo i one zdolne były do wielkich poświęceń, a niejedna z nich w swem życiu wiele przeboleła. Starajmy się raczej korzystać

z doświadczenia, które nam daje poprzedzająca nas epoka, aby życie nasze zastosować do środków, które posiadamy, i aby niezachwianie utrzymać się przy tym kawałku ziemi rodzinnej, która nas dotąd z mozołem żywia.



MARSZAŁEK POWIATOWY.

Ze wszystkich dygnitarstw z wyboru, które przez czas pewien pozostawały dostępnymi dla miejscowych ziemian tutejszych prowincyi, urząd marszałka powiatowego, a szczególnie gubernialnego, miał najwięcej ponęty. Niezaprzeczenie bowiem zapewniał przodownictwo nad szlachtą i urzędową nad nią opiekę we wszelkich wypadkach, gdzie tę uprzywilejowaną klasę narodu wypadło przed władzami reprezentować.

W pierwszych dziesiątkach tego wieku, o ile pomnę do 1831 r., wybierano jeszcze po wszystkich powiatach podkomorzych i chorążych. Podkomorzy, którego dawnym zwyczajem nazywano *Princeps Nobilitatis*, powinien był, wedle brzmienia Statutu Litewskie-

go, obowiązującego u nas do r. 1842, wyrokować ostatecznie w sporach granicznych, zwanych wówczas *rokami podkomorskimi*, na które zjeżdżały się na jego wezwanie na grunt obie strony. Podkomorzy też na miejscu badał świadków, sprawę rozpatrywał, za pomocą geometry przysięgłego, zwanego *komornikiem*, grunta rozmierzał, kazał natychmiast sypać kopce graniczne i wydawał dekret, wręczając stronom spornym tak zwane *dukta* i *redukta*, które często dotąd się spotykają po archiwach szlacheckich. Następnie dekret ów ogłaszał zebrany gromadom z wsi, należących do właścicieli, wiodących pomiędzy sobą spór graniczny; przytem powiadają, że było w zwyczaju odliczać młodym włościańskim chłopakom pewną lekką admonicyę na nowouslypanych kopcach, gwoli gruntowniejszego wrażenia w ich pamięć onej nowej granicy. Było to rzeczywiście środkiem skutecznym. Przed kilku laty zdarzyło się słyścić piszącemu od starych włościan, którzy w r. 1804 byli przy podkomorskiej obdukcji podobnej granicy, te słowa, stanowiące niezaprzeczone świadectwo ważności usypanych kopców.

Choraży, mimo pierwotnej, właściwej atrybucyi noszenia chorągwi powiatowej, co naturalnie ustało po skasowaniu pospolitego ruszenia, był po prostu zastępcą marszałka; dlatego przy obiorze jego, t. j. przy wotowaniu na niego w czasie wyborów gubernialnych, szlachta miała na względzie, aby ważny urząd marszałka nie dostał się nawet tymczasowo w niegodne ręce. Sami znaleźmy jeszcze tu wielu podobnych urzędników z wyboru. Ostatnimi być może zmarli na Wołyniu podkomorzy Szymon Konopacki i p. Julian Biełkowski.

Na początku 1844 roku skasowany został obieralny urząd pisarza sądowego, rodzaj sekretarza sądu powiatowego, na który szlachta wybierała wywiczonych prawników, którzy rzeczywiście byli kierownikami tej powiatowej jurydykcyi. Pozostali w niej zawsze obieralnymi: sędzia i dwóch podsędków. Później jednego z podsędków naznaczano od korony, jako też i sekretarza.

Pozostały również obieralnymi w gubernii ważne bardzo urzędy prezesów sądu głównego, t. j. I-go departamentu kryminalnego i II-go departamentu cywilnego, oraz po trzech w każ-

dym z nich deputatów, vel sowietników. Dygnitarstwa te, zwłaszcza prezesowskie, nadzwyczaj były poszukiwane; staczano o nie zawzięte walki na wyborach, charakteryzujące doskonale stosunki szlacheckie w pierwszej połowie bieżącego stulecia, lecz zarazem rzucające smutny cień na ówczesne społeczeństwo, gdyż, niestety! nie prawdziwa zasługa lecz prywatnie często tu brały górę.

Rząd stopniowo kasował te przywileje. Już około r. 1850 coraz częściej mianował, do obydwóch departamentów, prezesów koronnych; pozostawało po jednym lub po dwóch deputatów, czyli sowietników obieralnych; ci, jeżeli byli względni i energiczni, potrafili jeszcze mieć donioślejszy wpływ na wydawanie wyroków, lecz wogóle przyznać należy, że od r. 1848 ustało to znane trzęsienie sądami krajowymi, którem się nasza szlachta do tego czasu tak głośno przechwalała. Naturalnie, że wprowadzenie jawnego sądownictwa, wedle ustawy Cesarza Aleksandra II-go, z 27-go listopada 1867 r., położyło ostateczny koniec tym zastarzalym izbom sądowym połączonych departamentów, wadliwie funkcjonującym.

Należy oddać zupełne uznanie tym nowym instytucyom sądowym, które od tego czasu, z zaprowadzeniem ławy przysięgłych, wprowadziły sądownictwo krajowe na nowe, nie pozostawiające do życzenia tory.

Była jeszcze jedna instytucya czysto szlachecka obieralna, tak zw. deputackie zebranie szlachty, pozostające pod prezydencją marszałka gubernialnego, która się do ostatnich czasów, choć bardzo uszczuplona, jeszcze zachowała. Każdy powiat obierał wolnymi głosy jednego deputata; trzech z nich stanowiło konieczny komplet, a plenum w ważniejszych sprawach stanowili wszyscy, pod przewodnictwem marszałka gubernialnego. Zebranie to wyrokowało tylko o prawach szlachty co do jej pochodzenia, o jej legitymacyi przed departamentem heroldyi rządzącego senatu, o jej zatwierdzeniu w tem dostojęństwie, o dołączeniu małoletnich synów do rodowego spisu ojca, opierając się na metrykach konsystorskich i innych dokumentach służbowych przodków, i t. p. Wkrótce po r. 1831, gdy rząd nakazał ścisłą rewizyę stanu szlacheckiego, szczególnie pomiędzy t. zw. szlachtą zagonową i czynszową, rozkazując niemogą-

cych się wylegitymować przypisywać do t. zw. odnodworców, mieszczan, wolnych ludzi, a nawet do włościan rządowych, wtedy komisye deputackie, jak je powszechnie zwano, zawalone były sprawami, gdyż biedna szlachta zagonowa drżała na samą myśl odjęcia jej odwiecznych praw stanu uprzywilejowanego, którego główną i dotykálną prerogatywą było wówczas zwolnienie od rekrutacyi. O ogólnej bowiem powinności wojskowej nikt jeszcze wówczas nie miał pojęcia w Europie.

Nastał więc płacz i lament pomiędzy tą chodackową i szaraczkową rzeszą; wielu nawet dostatniejszych, należących do t. zw. *possessionali et bene nati*, było w obawie, czy potrafią udowodnić swe prawa szlacheckie. Dla tych więc groziło to postradaniem praw majątkowych, które posiadać tylko mogła rodowita szlachta, posiadająca jedynie przywilej władania dobrami leźnemi, osiadłemi przez włościan poddanych, czyli t. zw. wówczas: dusze rewizkie. Z porządku rzeczy zjawilo się mnóstwo doradców, chodatajów, którzy się podejmowali prowadzenia tych spraw i niemilosiernie bogatszych i ubogich obdzierali. Sami doskonale pamiętamy te czasy i z obu-

rzeniem je przypominamy. Wtedy to deputaci szlacheccy zarzuceni byli prośbami o skuteczną instancję. Kancelarye tych komisyi w kilku latach się zbogaciły, a o jednym z ówczesnych naszych marszałków gubernialnych pozostała tradycya, że kilkanaście tysięcy wołyńskiej zagonowej szlachty, gęsto rozrzuconej po Polesiu, szczególnie w powiecie Owruckim, przez swoją niedbałość i niezadarność przepisał w poddaństwo, choć łatwo było jej prawa zatwierdzić, opierając się na miejscowych podaniach, stwierdzonych urzędowymi świadkami, a nawet na aktach grodzkich, jawnie świadczących o zasadniczem pochodzeniu owej szlachty mazurskiej z XVI-go i XVII-go wieku. Z pewnością za to zaręczyć nie mogę, lecz wiem, że takie zarzuty krążyły po Wołyniu za mojej młodości.

Daleko już później, w początku piątego dziesiątka bieżącego stulecia, za rządów generała Bibikowa, stworzono jeszcze dwa obieralne urzędy dla osiadłej szlachty, niemające żadnego związku z dawnym ustrojem. Byli to deputaci t. zw. «pitejni» i «magazynowi.» Pierwszych funkcye słabo bardzo były określone; mieli oni mieć nadzór nad gorzelnia-

mi, a szczególnie nad drobiazgową rozprzedażą trunków, przeważnie wódki. Obowiązkiem zaś deputatów magazynowych było pilne przestrzeganie, aby każdy właściciel ziemski zsypywał do zapasowego włościańskiego magazynu, według liczby rewizkich dusz męskich w swych dobrach, po jednej czwartej (jeden korzec i 28 garncy) żyta i po pół czwartej (bez mała po korcu) owsa lub jęczmienia. Ci więc magazynowi kuratorowie, bo tak ich oficjalnie zwano, powinni byli przestrzegać, aby owe magazyny były pełne, aby zboże w nich się nie psuło, aby je zawsze zastępowano świeżem i nie szafowano bez pozwolenia wyższej władzy. Właściciel dóbr, jako reprezentant policyi dominialnej, był za to surowo, na równi z kuratorem odpowiedzialny. Magazyny owe miały na celu zabezpieczenie ludności wiejskiej od głodu. Za mojej już pamięci czerpano z nich w czasie kampanii węgierskiej i wojen wschodnich 1853 i 1877 roku. Pamiętam, jak obywatele żyto melli, suszyli i wypiekali z niego suchary, które włościanie w 1854 r. odstawiali do fortecy w Zamościu, pod najściślejszą odpowiedzialnością oficyalistów skarbowych.

Do ostatnich czasów, przed wypadkami 1863 r., wybieraliśmy honorowych kuratorów dla każdego gimnazjum i prezesów sądów honorowych. Wspominam o nich dla ścisłości opowiadania, gdyż w rzeczy samej te urzędy z wyboru mało miały doniosłości.

Wspomnę jeszcze o ważnej posadzie mirowego pośrednika, czyli komisarza dla spraw włościańskich. Nominacye ich polegały na jednomyślnej prawie opinii, wypowiedzianej na korzyść czterech pośredników w powiecie, nie tylko przez ziemian osiadłych, lecz i przez gromady włościańskie, głośno i oficjalnie zapytywane przez marszałków — pierwszy raz po uwłaszczeniu powołane niejako do życia publicznego.

Włościanie w gub. Wołyńskiej byli wówczas bardzo ciemi i lękali się wszelkiego rodzaju władzy; niemniej jednak pamiętam doskonale, jak już wówczas sprawdzało się na nich dawne przysłowie: «Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.» Jednogłośnym okrzykiem dawali swe zezwolenie na nieposzlakowanych kandydatów; lecz pamiętam również, jak ponuro mruzczeni czasem na proponowanego kandydata, który wśród włościaństwa używał opi-

nii pana surowego, a szczególnie niesprawiedliwego. Przyznać też należy, że wówczas marszałkowie podawali do zatwierdzenia przez wyższą władzę, dla przedstawienia do senatu, li tylko ludzi wykształconych i koniecznie nieposzlakowanej uczciwości.

Oto są mniej więcej pobieżnie opisane urzędy z wyboru, dostępne dawniej dla naszej szlachty w tych guberniach, pod berłem rosyjskiem. Scharakteryzowałem w krótkości każdą funkcję, dla jaśniejszego określenia urzędu marszałka, który w swym powiecie był prezesem wszystkich instytucji, a w gubernii ustępował tylko jednemu gubernatorowi. Póki ten urząd był u nas z wyboru, nie tylko oficjalnie, lecz i hierarchicznie, był on w wielkiem poszanowaniu. W powiecie marszałek niezaprzeczenie był pierwszą figurą: wszelkie władze polityczne, finansowe, nawet sądowe, jemu się prezentowały. Wszak on był prezesem opieki szlacheckiej, zależnej od ministerjum sprawiedliwości, komitetu więziennego, drogowego, sanitarnego, komitetu ziemskich powinności, prezydował w komisjach rekrutacyjnych, funkcjonujących na kilka powiatów, których członkami byli, oprócz nie-

go, drugi marszałek powiatowy młodszy rangą, kapitan, sprawnik, oficer wojskowy, dwóch lub trzech medyków, a bardzo często zasiadał w tej komisji umyślnie wysłany przez Najjaśniejszego Pana do rewizji jako fligeladjutant,— lecz i w takim razie marszałek nie ustępował mu prezesostwa. On sam naznaczał komisję pod swem przewodnictwem dla rozpatrzenia sprawy między dziedzicem i poddanymi wskutek podanej przez jaką stronę skargi. Następnie, po pierwszym zawiązku sprawy uwłaszczenia włościan, przewodniczył zjazdowi *mirowych pośredników*, gdzie oprócz tego liczył się członkiem jeden urzędnik koronny, mianowany na 3 sąsiednie powiaty, który kolejno, wznaczonych terminach, uczestniczył w tych posiedzeniach. Generał-gubernator, gubernator, każdy wysoki dygnitarz, przybyły ze stolicy, nieodmiennie zatrzymywali się w mieście powiatowem u marszałka i gościnnie bywali przez niego podejmowani; nawet, wedle zwyczaju, zwykle suto przyjmował i obwoził po mieście własnymi powozami osoby, należące do Rodziny Panującej. To już było niezaprzeczoną atrybutą marszałka w powiecie, uświęconą zwy-

czajem, i nikt mu jej nie myślał kontestować.

Marszałek gubernialny miał jeszcze szersze przywileje i większe pole do działania we wszelkich możliwych jurysdykcyach i komisjach gubernialnych. Choć za pierwszą figurę w mieście, w czasie oficjalnych przyjęć, uważano miejscowego gubernatora, lecz marszałek bez zaprzeczenia był drugą, reprezentującą obywatelstwo ziemskie i całą szlachtę, i dlatego też, znając swą godność, mało w czem gubernatorowi ustępował, a co do wspaniałości przyjęć, jako sam człowiek bogaty i niezależny, zwykle go o wiele przewyższał. Dlatego dobry kucharz, podający obfite półmiski, słodko i tłusto przyrządzone, i suto opatrzona piwnica, były niezbędnymi warunkami tej posady, przyczem konieczną była pewna doza rubasznej trochę gościnności, z rodzajem swojskiej tym stronom pryunki czyli przymusu. Marszałek, tak gubernialny, jak powiatowy, musiał mieć codziennie u siebie stół nakryty najmniej na sześć osób w powiecie, a na kilkanaście w gubernii — choćby sam z miasta odjechał — ku wygodzie łańskawych współobywateli, którzy do swego na-

turalnego reprezentanta, jak do jakiej restauracji, wprost przychodzili. Ominięcie tego odwiecznego zwyczaju groziło pewnymi negatywkami przy następnych wyborach, jeżeliby marszałek pragnął utrzymać się przy urzędzie na przyszłym trienium. Należało przeto zachowywać pewne ostrożności z niewykształconą nieraz bracią szlachtą.

Powstrzymuję się od dalszych uwag o kwestyi uwłaszczenia włościan w tutejszych guberniach, gdyż jest to temat niewyczerpany, o którym tomy dałyby się napisać.

Daleko już później, w lat kilka po wprowadzeniu do tych prowincyi ogólnej reformy sądowej Cesarza Aleksandra II-go, z 27-go listopada 1867 r., nastąpiły wprost z ministerjum sprawiedliwości nominacje po dwóch poważniejszych i znaczniejszych obywateli naszej narodowości z każdego powiatu gub. Wołyńskiej na honorowych sędziów pokoju, co później, w lat kilka, w części zastosowaniem zostało do gub. Kijowskiej i Podolskiej. Nominacje te wówczas ogłoszone zostały wbrew życzeniu centralnej władzy krajowej, która im wprost była nieprzychylną; utrzymały się jednak jedynie dzięki wpływowi ówczesnego mi-

nistra sprawiedliwości, hr. Pahlena, który pragnął ożywić nowowprowadzoną do kraju instytucję sędziów pokoju i ich zjazdów apelacyjnych elementem miejscowego obywatelstwa, polegając bardzo słusznie na jego nieposzlakowanej uczciwości. Pragnął także, aby nasi sędziowie honorowi zasiadali w kryminalnych departamentach sądu okręgowego, przy współudziale przysięgłych, a szczególnie bez nich, gdy same sądy wyrokują o przewinieniach, pociągających za sobą ciężkie kary, bez pozbawienia praw stanu.

Znajomość zwyczajów ludowych, czyli tak zwanego prawa zwyczajowego, była tu rzeczą ze wszech miar pożądaną. Skutki też z tego nowego rozporządzenia ministeryalnego były bardzo płodne, i każdy z nowomianowanych sędziów honorowych miał przed sobą bardzo wdzięczną, choć wprawdzie bardzo mozolną pracę. Kto się jej oddał z poświęceniem, sumiennie mógł sobie powiedzieć, że oddawał bardzo znaczne usługi społeczeństwu. Większa część sędziów honorowych po upływie pierwszego trienium pragnęła pozostać na swych posadach, bo to rzecz była nowa i zwracała uwagę publiczną. Niestety! wielu

wkrótce się zraziło, bo rzeczywiście niezabawnem, a często i ciężkiem było jeździć co miesiąc na kadencję do miasta powiatowego, oddalonego nieraz o mil kilka, i znosić tam, przez dni kilka lub kilkanaście, wszelkie niewygody brudnego partykularza. Niemniej głośno potępiano tych, którzy tę honorową funkcję, mającą dość znaczne atrybucye, nie dbale spełniali; lepiej już w każdym razie się usunąć, niż niepotrzebnie zajmować tak ważną posadę.

Opowiadano w mej młodości o pewnem bardzo przykrem zajściu u pewnego marszałka w czasie obiadu, gdy służba rozstawiała na stole butelki z etykietami: «Vin de Grave» i «Vin du Rhin.» Szlachta, nieumiejąca po francusku, obraziała się za to, że na wyższym końcu stołu stawiano wino dla grafów, a na niższym dla durniów. Należało więc karmić i pić bracie szlachtę należycie i dokumentnie, zapraszając usilnie do spożywania darów Bożych, bo od tego wiele zależało. Nie zapomnieliśmy snąc jeszcze wówczas tradycyi sejmikowych, — a jeżeli feldmarszałek Moltke twierdził, że nauczyciel ludowy wygrał kampanię francusko-niemiecką,

to śmiało można powiedzieć, że dobry kucharz, podający obfite półmiski, zdecydował o niejednej marszałkowskiej elekcji w czasie gubernialnych wyborów. Należało również wszędzie i zawsze być gotowym na wszelkie zawołania szlachty, dla opiekowania się jej najróżnorodniejszymi sprawami.

Nie stąpało się bynajmniej po różach na tym urzędzie; kolące ciernie zagłuszały nieraz kwieciste szlaki, którymi się do popularności dochodziło i do tytułu dążyło. Dużo bowiem robiło się wtedy dla t. zw. «koperty.» Sam znalazłem takich, najgodniejszych zresztą ludzi, którzy, jednomyślnie na wyborach prowadzeni na marszałkowstwo, przyjmowali urząd pod tym warunkiem, żeby młodszego brata obrano za kandydata. Ustąpiwszy mu z urzędu, przed samą ekspiracją trzechlecia, miał ten zacny człowiek tę pociechę, że i młodszemu bratu pozostał na zawsze tytuł marszałka i że tym fortem potrafił mu wyświadczyć ową nieocenioną przysługę, jedynie dla «koperty.» Niemniej jednak prawdziwa i skuteczna opieka nad szlacheckimi wdowami i sierotami była najpiękniejszą kartą funkcji marszałkowskiej. Iluż to ja zna-

łem takich, którzy podobne fortuny od zagłady ratowali i poodbierali z niepewnej lokacy takie sumy, które same rodziny sierot uważały za stracone.

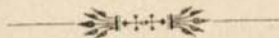
Piastowanie więc funkcji marszałkowskiej miało niezaprzeczenie swe piękne i szlachetne pobudki, bo można było wyświadczyć wiele przysług. Lecz o ile ważniejszymi były u wielu pobudki przewodniczenia powiatowi, wyniesienia się ponad zwyczajny poziom ziemian, zdobycia dla siebie i żony, niemal dla potomstwa, tytułu, który niejako zrażał się z nazwiskiem, noszenia munduru z sufto haftowanymi mankietami, nadzieja otrzymania krzyża Ś-go Stanisława lub Ś-ej Anny na szyję i przyjmowania u siebie, wobec nisko kłaniającej się szlachty, wysokich dygnitarzy. Na posadzie marszałka gubernialnego, przy jeszcze bardziej sutym mundurze o haftowanych «taszkach» i białych pantalonach ze złotym lampasem, wszystkie te nadzieje bardziej się jeszcze potęgowały, nawet dojrzaną w mglistym oddaleniu gwiazdą orderową, któraby tak pięknie odbijała od marszałkowskiego munduru na portrecie, wykonanym przez prowincjonalnego malarza i za-

wieszonym ku wiecznej pamięci następujących pokoleń w jadalnym pokoju wiejskiego dworu. Nie tu miejsce opisywać wszystkie przedwyborcze zabiegi i intrygi, boby to ząnadto rozszerzyło ramy tego obrazka; dość powiedzieć, że każdy powiat posiadał swych wypróbowanych krzykaczy na wyborach. W ich więc ręce powierzano swą kandydaturę, bo powiat na przedwyborczem zebraniu w mieście przedwcześnie układał listę; wiele zresztą zależało od wypadku, którym Bóg i szczęśliwa gwiazda kierowały.

Niezaprzeczenie spotykało się wiele śmieszności na tych urzędach — niejeden z marszałków nie odpowiadał swemu powołaniu, sadził się na wielkopańskie maniery, na francuzczyznę, którą niemilosiernie kaleczył. Głośna była za mych czasów anegdota o pewnym marszałku, przez którego powiat, za jego urzędowania, przejeżdżała jedna z w. księżn zagranicznych, dążąca do Petersburga; czuł się więc on w obowiązku, jako miejscowy urzędowy gospodarz, przez powiat eskortować ją konno, w mundurze marszałkowskim, przy szpadzie i w stosowanym kapeluszu. Asystował zaś w drodze przy por-

terze od karety i bawił ją francuską rozmową. W. księżna przez samą grzeczność zadawała mu od czasu do czasu niektóre pytania; otóż przejeżdżając przez długą groblę nad obszernym stawem, zapytała go, nie mając innego tematu do rozmowy: «*Quelle espece de poissons avez Vous ici, Monsieur le Maréchal?*» — lecz nasz dygnitarz, któremu zabrakło w tej chwili technicznych wyrażen z piscikultury, odrzekł najśmielej, trzęsąc się na siodle: «*Nous avons, Altesse, des carpes, des lins, des karaś, des okoń,*» opuszczając nazwę szczupaków, którą trudno mu było w jednej chwili na język francuski przełożyć. Można sobie wyobrazić zdziwienie w. księżny, która nigdy o takich gatunkach nie słyszała. U innych znowu poziom intelektualny wiele pozostawiał do życzenia, lecz tacy mieli tę wielką zaletę, że dawali się powodować komuś rozumniejszemu, zwykle marszałkowskiemu sekretarzowi, doskonale obytemu z całą urzędową manipulacją, i jakoś tak zawsze wypadalo, że nigdy nie popełniło się rażącego głupstwa, mogącego przynieść uszczerbek powiatowi lub współobywatelom — bo opinia publiczna w takich razach nad marszałkiem czuwała. Zdarzyło

mi się jednak samemu przed laty widzieć podpis pewnego marszałka, który się najwyraźniej podpisał na papierze urzędowym: «Marszałek takiego to powiatu i żonaty.» Wywołane to było podpisem sąsiedniego kolegi, brzmiącym: «Marszałek i kawaler.» Najwyraźniej nasz żonaty dygnitarz nie pragnął, aby mu ktoś z kolegów swym podpisem imponował.



KSIĄDZ KAPELAN.

Dawniej powszechnym u nas było zwyczajem, że zamożniejsze dwory pańskie utrzymywały księży kapelanów, ku wygodzie państwa, dworzan i wszystkich zgola domowników. Nawet bogatsze domy szlacheckie nieraz na to sobie pozwalały, gdyż szczerza i prawdziwa pobożność cechowała nasz naród. Polak ziemianin starego autoramentu, do jakiejby on klasy nie należał, rad był rozpocząć dzień od wysłuchania Mszy Świętej, co dla niego nieraz stawało się przytrudnem, z powodu oddalenia pałacu lub dworu wiejskiego od kościoła; szczególnie na Rusi, gdzie lud był wyznania wschodniego, nie było kościoła rzymsko-katolickiego w każdej wsi. W tych więc stronach, przeważnie na Wołyniu, gdzie w końcu drugiej połowy wieku XVII-go, po uspokojeniu wojen kozackich,

zaczęło stale rezydować po swych dobrach wielu magnatów, posada kapelana na dworze stawała się niemal konieczną. W Wielko i Małopolsce, na Żmudzi, a po części na Litwie, miejscowy pleban wiejski zwykle codziennie odprawiał Mszę Św. w kaplicy dla j. w. dziedziców, którzy znów z całym dworem asystowali w niedziele i dni świąteczne na uroczystym nabożeństwie w kościele parafialnym.

O posadę kapelanów wielu duchownych się ubiegało, bo był to chleb łatwy i wielce wygodny. Kandydatów zatem nigdy nie brakło. W kraju było wówczas mnóstwo duchowieństwa świeckiego, a szczególnie zakonnego; każdy magnat, nawet kilkowiejski szlachcic, był dobrodziejem jakiegoś klasztoru. Należało to niejako do tradycyi rodu, przekazanej wiekami z ojca na syna, i najdalsi prawnukowie pamiętali zawsze o tem, że taki to ich przodek szczególnie protegował pewien zakon, że fundował sąsiedni klasztor, polecając się za życia, a szczególnie po śmierci, pobożnym modlitwom całego konwentu. Wczytując się nieraz z uwagą w dzieła historyczne, a najbardziej w źródła dziejowe różnych części naszego kraju, tak starannie wy-

dawane w ostatnich czasach, trudno się powstrzymać od zdziwienia nad niezmierną zaiste ofiarnością naszych przodków na cele religijne. Po otrząśnięciu się naszej szlachty z nowinek protestanckich, grasujących przeważnie za panowania Zygmunta Augusta, stawiano mnóstwo kościołów, ale fundowano więcej jeszcze konwentów zakonnych, sprowadzając nawet z zagranicy, przeważnie z Włoch, coraz nowych zakonników. Każda możniejsza rodzina w kraju miała swój uprzywilejowany zakon duchowny, dla którego we wszystkich swych posiadłościach, rozrzuconych po różnych częściach Polski, stawiała obszerne klasztory, ze wspaniałymi kościołami, hojnie je uposażając. Nieraz sobie myślałem, że ten, kto by się podjął opisać chronologicznie i statystycznie historię fundacyi różnych zakonów duchownych u nas, tylko od początku XVII wieku, miałby przed sobą nader wdzięczną pracę, ale bynajmniej nie łatwą, gdyż musiałby przetworzyć mnóstwo kronik rodzinnych, kościelnych, dyecezyalnych, konsystorskich, akt grodzkich, starościńskich, a nawet metryk koronnych i litewskich, nie mówiąc już o owych nadzwyczaj ciekawych «Silva rerum,» w któ-

rych przodkowie nasi wszystko najchętniej notowali. Ale jakież to nowe światło rzuciłoby na ówczesne stosunki społeczne i jakby to rozjaśniło niejedną ciemną dla nas kwestyę!

Z takich to więc klasztorów pochodzili przeważnie owi nasi dawni kapelani domowi, gdy najczęściej przy oblatowaniu w grodzie szczodrej fundacyi i znacznego zapisu dla braci zakonnej pobożny dobrodziej wymawiał sobie wyraźnie obowiązek odprawiania w pewnych terminach tyłu to Mszy żałobnych za spokój duszy swojej i swej małżonki, i obowiązek obświadczenia mszalnym księdzem jego dworskiej kapelanii. Sama więc zwierzchność klasztorna wyznaczała ze swego konwentu kandydata na kapelana, naturalnie prezentując go poprzednio do własnego uznania samego pana. On zaś corocznie składał umówioną annuatę konwentowi w gotowiznie i produktach, a wypłacał niewielką sumkę do rąk samego kapelana na habit i tabakę. Często też bywały przy rezydencyach pańskich piękne, murowane, o kilku ołtarzach kościoły filialne, obsługiwane jak kaplice przez kapelanów zakonnych, pozostających na powyższych prawach. Fundator, po wystawieniu kościoła, warował

sobie w akcie erekcyjnym ufundowanie nie probostwa, lecz wyraźnie filii, jedynie dlatego, aby diecezyalna władza duchowna nie mogła mu narzucić proboszcza nie według jego upodobania, woli i wyboru. A był przytem zupełnie pewny, że sąsiedni konwent, na mocy annuaty którego z jego przodków, lub zresztą jego własnej, obowiązany mu dać kapelana tego, którego on sam sobie za porozumieniem się z gwardyanem lub przeorem klasztornym wybierze. Często też ów pan był dziedzicznym syndykiem zgromadzenia zakonnego. Naturalnie, że całe utrzymanie kościoła filialnego, jego służby, to jest: organisty, zakrystyana, dzwonnika, zaopatrzenie w światło, wino i inne potrzeby, dotyczyło jedynie miejscowego dziedzica. Chociaż podobna filia pozostawała na prawach dworskiej kaplicy, lecz ponieważ miała przy sobie cmentarz, grzebano przy niej umarłych, a kapelan spełniał wszystkie takie *memento* i miał wyraźnie zdane sobie *cura animarum* nad oddzielną, przyległą do kościoła częścią parafii. Wszelkie też metryki zapisywał do ksiąg kościelnych, odsyłając je corocznie do miejscowego księdza proboszcza.

Czasem się też zdarzało, że i ksiądz świecki, połączony węzłami pokrewieństwa, szkolnego koleżeństwa lub przyjaźni z dziedkiem, mającym u siebie kaplicę, osiadał na stare lata na kapelanii. Wtedy używał zasłużonego wywczasu i spokoju, po życiu sterczem na usługach publicznych, lub na profesorskiej katedrze w jednej ze szkół duchownych, których kraj nasz w pierwszej połowie tego wieku tak wiele jeszcze posiadał. Znałem w swej młodości podobnych kapelanów, którzy umiejętnie kierowali wychowaniem syna swego pryncypała. Zwano ich powszechnie księdzem profesorem, lub księdzem kanonikiem, jeżeli posiadali tę honorową oznakę konsystorską. Tacy kapelani uważani byli powszechnie za doświadczonych przyjaciół rodziny; radzono się ich w ważniejszych sprawach i nieraz mieli wielką przewagę nad samym panem i panią, nad kierunkiem nie tylko wychowania dzieci, lecz i ogólnych interesów majątkowych. Trafiło się też czasem, co sam doskonale pamiętam, że dawniej pan starego autoramentu szukał pomocy swego nadwornego kapelana w zarządzie licznym swym dworem, mając na uwadze, że księdza

wszyscy chętniej słuchać będą, jako poważnej osoby duchownej. Jeżeli więc ksiądz okazywał dość energii i specjalnych wiadomości, których z łatwością mógł nabyć przez długie obcowanie na tym dworze, to obejmował nad nim główny zarząd i powierzano wszystko w jego wierne ręce, nawet i piwnicę, do której w pomoc dodawano mu specjalnego piwniczego, i wtedy tytułowano go księdzem marszałkiem, co nie przeszkadzało, że codzień rano odprawiał Mszę Świętą w kaplicy pałacowej, a w dni uroczyste występował z doskonałym kazaniem w kościele parafialnym.

Najczęściej jednak kapelanem bywał niemłody już zakonnik z sąsiedniego konwentu, związany obowiązkami wdzięczności dla miejscowego pana. Jedną taką postać—Ojca Franciszkanina, z klasztoru, przed 30-ma laty jeszcze egzystującego w Międzyrzeczu Ostrogskim—żywo stoi mi w pamięci, gdyż zacny ten kapłan dawał ślub mnie samemu i chrzcil starsze moje dzieci. Staruszek ten, skromny, cichy, wielce pobożny, ową pobożnością pełną najgłębszej wiary, która rzeczywiście skąły z posad porusza, przebył na miejscu, w tym samym wiejskim dworze, przy jednej

rodzinie, wiernie służąc Bogu przy jednym ołtarzu, przeszło lat czterdzieści kilka. Gdy wskutek rozporządzenia władzy dyecezyjalnej, złożony ciężką i nieuleczalną chorobą, przeniesiony został w stan spoczynku, do cudzego niestety klasztoru, OO. Bernardynów w Zaslaviu Wołyńskim, bo wtedy własny jego konwent od dawna już był skasowany,—to staruszek, po kilku miesiącach pobytu tam, do tego stopnia zatęsknił za całą rodziną swych dobrodziejów, z którymi się zżył od lat tylu, że wyprosił sobie u księdza biskupa urlop na święta Bożego Narodzenia i już się z miejsca nie ruszył. Tu bowiem, choć mocno cierpiący, czuł się silniejszym; chrzcił, spowiadał, grzebał, dawał śluby — jednym słowem spełniał wszystkie posługi religijne przy tym samym filialnym kościółku, którym lat tyle administrował, i tu też złożył stare swe kości, na owym skromnym wiejskim cmentarzu, gdzie tylu zmarłym oddawał ostatnią chrześcijańską posługę. Nie był on bynajmniej uczonym teologiem, nawet, o ile mi się zdaje, seminaryum nie kończył; zaledwie wyuczono go w klasztorze niezbędnych nauk duchownych i modlitw kościelnych i przedstawiono do wy-

święcenia księdzu biskupowi wileńskiemu, bo był rodem z Litwy, i już księdzem mszalnym przybył stamtąd do swego konwentu OO. Franciszkanów na Wołyń. Tyle tylko posiadał on łaciny, ile mu to niezbędnem było przy spełnianiu obrzędów kościelnych, które bardzo ściśle i najsumienniej przestrzegał; nieraz jednak w śpiewie, w czasie Sumy lub innych ceremonii religijnych, zdradzał się mimowolnie z niedość gruntowną znajomością języka kościelnego. Bynajmniej też wymownym nie był; co niedziela jednak i w każde święto uroczyste uważał za wyraźny swój kapłański obowiązek wypowiedzenie z ambony długiego kazania, z trudnością zaledwo odczytanego z cudzego rękopisu i nieustannie przeplatanego słowami: «mówię, powiadam» — co było u niego zwykłym przysłowiem. Ludzie w czasie tego kazania najspokojniej zasypiali, ku zgorszeniu dusz pobożnych. Łagodnie starano się wytłumaczyć poczciwemu kapelanowi, aby tych kazań, czyli, jak powiadał, nauk niedzielnych, zaniechał. Nie dawał się jednak przekonać, dowodząc uporczywie, że to było jego wyraźnym obowiązkiem kapłańskim, opuszczenie którego po-

czytywał wprost za grzech śmiertelny. Dopiero gdy miejscowy dziedzic wymógł to na nim pod rygorem *obedentia ecclesiastica*, przełanej niejako w jego ręce przez władzę klasztorną, wtedy dopiero zgodził się staruszek na pewien kompromis z własnym sumieniem i odtąd wygłaszał swe sławne kazania co niedziele i święta uroczyste przed Sumą. Słuchały ich też ze skupieniem same miejscowe dewotki, które, słowa nie rozumiejąc, pobożnie tylko wzdychały. Dworscy zaś ludzie tak się do tego przyzwyczaili i tak to uważali za rzecz zupełnie naturalną, że zapytani, czy nie będzie już późno do kościoła na Sumę, na którą kapelan zwykle polecał przed kazaniem sygnować, a później dzwonić we wszystkie dzwony, odpowiadali najnaiwniej: «O! nie, panie! jeszcze się kazanie nie skończyło!»

Posty obserwował jak najściślej. Cały Adwent i Wielki Post jadał na oleju, a w niedziele tylko z masłem, ale jadał obficie, bo mimo sędziwego wieku, apetyt miał znakomity. Sam się nieraz mocno dziwiłem, jak mu nie szkodzą tak niezdrowe potrawy, jak pierogi z kapustą na oleju, lub kasza na sie-

miennem mleku, co uważał za prawdziwy postny specyał. Fukał na tych, którzy postów nie obserwowali, nie mając na to duchowej dyspensy. Pamiętam, jak z oburzeniem robił raz srogie wymówki świeżo przybyłemu gościowi z Galicyi, któremu w piątek wielkopostny podawano przy stole soczysty befszytk; dowodził mu bardzo energicznie, że to grzech śmiertelny i że tym sposobem duszę swoją gubi. Lecz gdy nowoprzybyły gość najpoważniej mu wytłómaczył, że ksiądz kapelan najniesprawiedliwiej na niego napada, bo on przybywa z zagranicy, gdzie, jak wiadomo, obserwują inny kalendarz, i gdy go upewnił, że on ten sam piątek już przed dwunastu dniami najsumienniejsz odpościł,— dopiero wtedy staruszek zupełnie się uspokoił, nawet tego pana za swe uniesienie pokornie przeproszał. Wogóle w rzeczach wiary i przepisów kościelnych, do czego żadnej dyskusyi nie dopuszczał, stawał się nieraz kapelan szorstkim impetykiem i kończył zwykle rozmowę słowami: «Co tu z wami gadać! Was już i tak szatani opętali!»

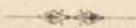
Pochodził z powiatu Bielskiego, gubernii Grodzieńskiej, to jest z owego Litewskiego Pod-

lasia, odznaczającego się prawdziwą pobożnością ludu, z drobnej zagrodowej szlachty, która od dawna dostarczała najliczniejszego kontyngensu do seminariów duchownych i nowicyatów klasztornych. Przywdział suknię zakonną z prawdziwego powołania, ożywiony głęboką, niezachwianą wiarą, za którą dałby się w sztuki porąbać. Żadne względy światowe lub nadzieje na świetną duchowną krescytywę z pewnością nim nie powodowały. Z tą myślą, jak nam sam opowiadał, wzrastał wśród liczego rodzeństwa w zaścianku szlacheckim. Zostać księdzem — było jedynem i najwyższem jego marzeniem, które Bóg w Swem nieograniczonym miłosierdziu dał mu osiągnąć za życia, bo uważałem z jego naiwnych opowiadań o jego stronach rodzinnych, że najwyższą ambycją tych herbowych, lecz tak pobożnych szaraczków, mieszkających na Podlasiu po tak zwanych okolicach szlacheckich, było mieć jednego ze swoich sługą Bożym u stóp ołtarza. Nasz więc zacny kapelan dosięgnął szczytu swych marzeń i czuł się zupełnie szczęśliwym, gdyż jako ksiądz mszalny, najsumienniejszy w skromnym zakresie spełniający swe obowiązki, do-

żył jubileuszu kapłańskiego. Nigdy nie odmówił nikomu najcięższej duchownej posługi; w najciemniejszą noc, wśród najokropniejszej burzy lub zawiei śnieżnej, gotów był iść choćby piechotą z Panem Bogiem do chorego; chwili się nigdy nie zawahał: nałożywszy stary płaszcz na ramiona, już był gotów, jak żołnierz idący do boju. Pewnego razu, spełniając tę pobożną duchowną posługę, nielitościwie wyrócony z wozu na twarz na zmarzłą ziemię, został mocno potłuczony, co też po roku niespełna stało się powodem jego przedwczesnej śmierci.

Zacny ów starzec, Franciszkanin, O. Rufin Dobrogowski — bo nie widzę powodu ukrywać jego nazwiska, — był nadzwyczaj oszczędnym dla siebie, lecz w miarę możności rozdawał jałmużny ubogim. Ze skromnej swej pensyjki kapelańskiej, wynoszącej zaledwie pięćset złp. rocznie, i ze szczupłych dochodów owego filialnego kościółka, nie odmawiając nigdy grosza prawdziwie biednemu, potrafił jeszcze cokolwiek dla siebie przez lat tyle zaoszczędzić. Dopomagał też własnej ubogiej rodzinie, zamieszkałej na Podlasiu, na szczupłym szlacheckim zagonie. Wyrobił po-

zwolenie utrzymania przy sobie na dworze jednego ze swych synowców, którego początkowo posyłał do miejscowej funduszowej szkoły parafialnej, gdzie sam wykładał naukę religii; następnie wysłał go do wyższych szkół publicznych, łożąc na jego utrzymanie ze skromnych swych funduszów. Z kolei brał do siebie drugiego synowca — i trzech za mej pamięci wychował, kompletnie wyposażył. Dwóch z nich obrało sobie służbę wojskową, trzeciemu kupił kilkadziesiąt morgów dobrej ziemi w sąsiedniej wiosce, dopomógł mu do zabudowania się i zaprowadzenia porządnego szlacheckiego gospodarstwa, czem na wieki zabezpieczył mu byt niezależny. W skromnym więc zakresie dbał o krescytówkę własnej rodziny. Jednak przedewszystkiem był to wielki chrześcijanin i pobożny kapłan, sumiennie spełniający wszelkie obowiązki szczytnego swego powołania. Choć nie był on ani uczonym teologiem, ani dzielnym kaznodzieją, ale miał głęboką, niezachwianą wiarę, która nieraz cuda na tej ziemi wytwarza.



ORGANISTA.

Skromny sługa kościelny, chwalący Boga swemi pieśniami, najczęściej nieudolnie śpiewanemi, ów dawny prowicyonalny wiejski dławiduda, był to także typ nielada, różniący się wielce od dzisiejszych eleganckich organistów, którzy się kształcili w Warszawskiej szkole muzycznej. Wiele podobnych dawnych postaci nasuwa mi się na pamięć.

Wiemy z podania, że stare nasze prowincjonalne kościoły, owe wspaniałe kolegiaty, hojnie uposażone szczodrością naszych przodków, utrzymywały dobrych fachowych organistów, dostatecznie znających się na swym kunszcie.

Byli to niekiedy istni personaci i arystokraci swego fachu, jak n. p. ów Ryś, z po-

kolenia w pokolenie organista nieświeski, którego stosunki z ks. Radziwiłłami, a szczególnie z ks. Karolem Panie-Kochanku, tak wdzięcznie swem nieocenionem piórem opisał Sopllica. Lecz nie każdemu organiście równać się z Rysiem, jak nie każdemu generałowi marzyć o zdobyciu wojennej sławy Kondeusza lub Moltkego.

«Podług stawu grobla» — powiada przysłowie; niewiele też kościołów w kraju mogło się równać kolegiacie nieświeskiej.

Dla odtworzenia typu dawnego wiejskiego organisty, przywodzę sobie na pamięć postać imci pana Albina R., na którego całą swoją młodość patrzyłem i do którego fałszywego śpiewu tak się jakoś przyzwyczailem, że pod jego dźwięki lepiej literalnie było mi się modlić. Być może, że wiele na to wpływał urok lat młodzieńczych, owej jasnej i świetlanej doby życia, pełnej zachwytów i nadziei, gdy wszystko się uśmiechało, i gdy się tworzyło tak piękne projekty — niestety! nigdy nieziszczone.

Dość, że gdy w czasie uroczystości wielkanocnych poczciwy nasz R. zaintonuje wspaniałą pieśń, miłą każdemu sercu, poczynają

cą się od słów: «Wesoły nam dziś dzień nastal» i gdy przy końcu każdej zwrotki huknie na cały kościół wspaniałe «Alleluja!» z akompaniamentem głośnego pedału, dziwnie modulując to słowo, jakby się ono pisało przez dziesięć «l» — to wierzajcie mi, że raźniej i weselej robiło mi się na duszy, bo się czuło tu, w tym wiejskim kościółku, nieporównany urok tego wielkiego święta i niktby mię wówczas przekonać nie mógł, że ta nasza rodzinna pieśń kościelna mogła być inaczej odśpiewana.

Wiedzieć bowiem należy, że nasz Ryś, kierując się własną metodą, zdobytą nie wiem w jakim konserwatorium, posługiwał się trzema głosami: uroczystym, żalobnym i zwyczajnym, używanym codziennie, w dni powszednie, gdy nie uważał potrzeby piersi sobie nadrywać. Słowo «alleluja» zwykle śpiewał głosem uroczystym, podniesionym, silnie akcentując literę «l» i kreskując literę «u» na «üe» — co wedle niego miało być bardzo solennem. Wszelkie zaś nabożeństwa żalobne śpiewał jak należy, w tonie minorowym, bardzo ponurym, piersiowym, zupełnie niepodobnym do głosu zwyczajnego. W responsach

jego księdzu w czasie egzekwii, szczególnie w słowie «amen» po wygłoszeniu od ołtarza «Requiescat in pace,» przebijała się jakaś rzewność, niemal płaczliwe drganie w głosie, które, wedle twierdzenia prostaczków, miało całą asystencyę do płaczu pobudzać. Gdzie on się tego nauczył, to Bogu tylko wiadomo—dość, że tak śpiewał do końca życia. Nie był to więc zwyczajny organista, bo miał swą własną osobną metodę, od której za żadne skarby świata nie byłby odstąpił.

I dobrze mu z tem było, bo cichą i sumienną pracą potrafił mozolnie uciuć pewną sumkę w karbowanych rublach, która po jego śmierci bardzo się przydała żonie i dzieciom.

Wprawdzie głos swój modulował stosownie do ofiarowanego mu przez parafian skromnego honorarium — uroczyściej śpiewał na zamówionej wotywie, a smutniej i rzewniej na pogrzebowym kondukcie, jeżeli potrafiono należycie ocenić jego głos i pracę — darmo bowiem nie widział potrzeby piersi forsować, — przyznać jednak należy, że się z parafianami nie targował, że ich nie wyzyskiwał, na co w każdym razie poczciwina ksiądz kapelan

nie byłby pozwolił. Kontentował się dobrowolnie ofiarowanym mu datkiem, składając głośnego, wyrazistego całusa na rękę *honorarioses*, to jest rodowitej szlachty z grona osiadłych obywateli, a kłaniając się uprzejmie szaraczkom, mówiąc wszystkim pokornie: «Niech Bóg Wszechmocny stokrotnie zapłaci.»

W wolnych chwilach od zajęć obowiązkowych przysiewał w polu na kawalku ziemi, udzielonej mu przez dziedzica. Sam pracował w pocie czoła, napędzając do pracy młodszego brata Kacpra — który pod jego rozkazami spełniał przy kościele funkcje zakrystyana i dzwonnika, — własną żonę, o ile jej na to pozwoliły zajęcia przy licznej drobnej dziatwie, i dorastającego syna Romasia, skrofulicznego wyrostka, który usługiwał do Mszy Św., a którego ojciec, jak ów znany Rys, organista radziwiłowski, powoli kształcił w swym fachu i wyraźnie marzył, aby mu przekazać w spuściźnie organy tutejsze wraz ze swą muzykalną metodą na trzy głosy.

Bóg jednak nie ziścił marzeń poczciwego naszego dławidudy. Wkrótce po jego śmierci wymarło z suchot całe jego choro-

bliwe pokolenie, a nadpsute organy przeszły do innego rodu.

Niemniej w czasach, o których wspominał, biedny R. pracował nieustannie w polu. Ileż to razy, wracając późno wieczorem do dworu, spotykałem tego pocziwca idącego z pola z kosą lub pługiem, albo podążającego późnym zmrokiem do domu, na furze, obładowanej zżętem zbożem, mając obok siebie swego Romasia. Zawsze mię pozdrowiał słowami: «Niech będzie pochwalony!» upominając chłopaka: «Pokłoń się, synu, nisko panu, bo to nasz dziedzic i dobrodziej.» Był więc R. pod każdym względem pracowitym i pocziwym człowiekiem; ludzie pomawiali go o skąpstwo, bo nigdy z nimi nie pił i nie hulał w karczmie, oszczędzając grosz do grosza na czarną, jak to powiadają, godzinę, która też, niestety, zaraz po jego śmierci nastąpiła. Kościół, zakrystę, skarbiec i wszelkie aparaty kościelne utrzymywał we wzorowym porządku; dziedziniec kościelny zawsze był czysto utrzymany i zamieciony. W kątku za plebanią hodował kilkanaście pni pszczoł, które ciągnęły pożytek z pól i wonnych lip, otaczających ten skromny kościółek

wiejski, a pasieka, umiejętnie prowadzona, powiększała niewielkie dochody organisty.

Weszło już nawet w zwyczaj u tegoczesnych powieściopisarzy przedstawiać w swych opowiadaniach organistów wiejskich jako wiertnych i nalogowych pijaków. Ów Gałaszewski, organista w Lubądzcy, mistrzowsko wprowadzie odmalowany przez Adolfa Dygańskiego w świeżo przez niego wydanej powieści, jakimże on jest wstrętnym opojem, nieustannie wyzywającym swych wiejskich parafian na sute dla niego poczęstunki w karczmie. Nasz R. nigdy nie zasłużył na podobny zarzut, a jeżeli w czemkolwiek był podobny do swego lubądzkiego kolegi, to chyba z tego, że, tak jak i on, miał wysokie pojęcie o własnej kościelnej łacinie, w której, nie rozumiejąc ani słowa, najpoważniej śpiewał na chwałę Bożą jednym ze swych głosów. Osobliwie pamiętam niemilosierne przez niego przekręcane wersety z litanii do Wszystkich Świętych, którą wedle rytuału intonował w Wielką Sobotę przed Wielkanocą, gdy ksiądz celebrans leży krzyżem u stóp wielkiego ołtarza. Miał też R. pretensję do głębokiej znajomości obrzędów kościelnych,

co zwykle, nie wiadomo dlaczego, «kanonami» nazywał. Bardzo tem imponował prostaczkom, którzy go widzieli uzbrojonego w okulary, dającego łacińskie responsa księdzu z wielkiego kościelnego mszału. Nie upierał się jednak ostatecznie przy swem zdaniu, gdy go ksiądz kapelan lub kto z nas po cichu przestrzegał.

Łatwo się domyślić, że typowa postać naszego organisty wpadała każdemu w oko i żeśmy wszyscy, o tyle wówczas młodsi, wyzykiwali go do różnych figlów. Wogóle jednak, z powodu wielu zalet, bardzośmy go lubili. Naturalnie w Adwencie, za zbliżeniem się kołedy, sumiennie objeżdżał nasz R. parafian z opłatkami i życzeniami, i wtedy nie gardził najmniejszym datkiem, wsuwany do wózka lub sanek; trzymał się bowiem zasady, że «pisarz żyje z kałamarza, a ksiądz z ołtarza,» około którego i on, nędzny sługa Boży, coś tam nibyto znaczy.

Nieraz jednak przede mną, jako dziedzcem, rozwodził z tego powodu swe żale, pokornie się wyrażając: «Przysięgam Bogu (zwykle jego przysłowie), niema sprawiedliwości na tym świecie; bo czyż godzi się, aby

z kołędą organista parafialny uprzedzał mnie, organistę filialnego, śpiesząc się z objeżdżaniem własnych moich parafian i zagarniając do swych rąk tę mizeryę, która dla mnie właściwie była przeznaczona.»

Mówił to z żalem, zupełnie poważnie, mocno przekonany o wyrządzonej mu krzywdzie. Do mnie, jako do miejscowego pana i dziedzica, przychodził zawsze 24-go grudnia, w sam dzień Wigilii, wystrojony w długi, ciemno-zielony surdut, i popychając przed sobą synka swego Romaśia, niosącego na tacce kościelnej, przykrytej wzorzystą materją, kilka paczek opłatków różnej wielkości dla samych jasnych państwa i dla dzieci. Romaś miał wygłosić przy tej okazji szumną wierszowaną oracyę z życzeniami zdrowia, szczęścia i wszelkich pomyślności dla całego dostojnego domu.

Zwykle kończyło się na pierwszym dwuwierszu, wypowiedzianym pod silnym naciskiem ojca, mówiącego mu po cichu:

— Nie bój się, synu, mów śmiało.

Słyszeliśmy więc tylko:

«Piękna lilia w ogródku zakwita,
Panna Marya Jezusa wita...»

Lecz na tem się kończyło — i dalej ani rusz, jakby chłopak ugrzązł w błocie, mimo mrugań i niemych próśb skonfudowanego organisty, gdyż Romaś wyraźnie z płaczem się przyznawał ojcu:

— A co, tatku... dalibóg, mówiłem, że dalej nie potrafię.

Kończyło się też na drobnym podarunku dla syna i na kwitku do magazynu zbożowego dla ojca, poczem obaj odchodzili uradowani ze spełnienia tego dorocznego obowiązku.

W doborze kolęd był nasz R. niewyczerpany. Od pierwszego dnia Bożego Narodzenia, a raczej od solennej Pasterki, zwykle odprawianej o północy, aż do dnia 2-go lutego, święta Matki Boskiej Gromniczej, to jest w czasie uświęconym zwyczajami Kościoła, grzmiał chór naszego kościółka od przeróżnych pieśni kolędowych, wziętych ze starożytnych kantyczek. Wtedy nasz organista, ku większej chwale Bożej, dopuszczał postronnych amatorów do akompaniowania mu na chórze przeróżnymi głosami: głębokim basem, potężnym barytonem, dźwięcznym tenorem lub altem, a najbardziej piskliwym dyszkantem.

Wyradzała się więc z tego niemożliwa nieraz melodia, szczególnie w pierwszych zwrotkach każdej nowej kolędy, zanim się głosy niejako nie sprzegły, — melodia, zdolna obrazić każde, choć trochę muzykalne ucho. Przebijająca się w niej jednak prawdziwa pobożność i głęboka wiara owych prostaczków, tak, że się jakoś pod dźwięki tych starych i niewyszukanych pieśni naszych dobrze i błogo modliło; dość, że dziś jeszcze z rozrzewnieniem o tem wspominam, jako o pięknych chwilach mej niepowrotnej młodości.

Kolejno więc słyszeliśmy nasze stare, narodowe kolędy: «W żłobie leży, któż pobieży,» «Zagrzmiała, runęła w Betleem ziemia,» «Anioł pasterzom mówił,» «Bóg się rodzi, moc truchleje,» «Hej, w dzień narodzenia Boga jedynego» i t. p., i t. p. Solenne nabożeństwo kończyło się zwykle rzewną i dziwnie naiwną kolendą ze znaną zwrotką, powtarzającą się ciągle:

«Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj,
A Ty Go, Matulu, w płaczu utulaj!»

którą nasz organista, jakby jakim tryumfującym, wesołym marszem, żegnał pobożnych,

rozchodzących się z kościoła. Ci zaś na przedśionku składali sobie wzajemnie świąteczne i noworoczne życzenia przy pięknym, mroźnym dniu zimowym, gdy stuletnie lipy, okalające kościółek, pokryte były puszystą, śnieżną okiścią, a donośne dzwonki przy sankach wesoło brzęczały w mroźnym powietrzu.

Dawno już minęły te piękne dni tak swobodnie i szczęśliwie przebytej młodości, a jednakże dziś, po latach tyłu, wyraźnie odzwierają się one w mej starej pamięci przy naiwnym odgłosie kołęd naszego poczciwego starego organisty. Świąteczny głos jego zawsze imponująco się rozlegał pod sklepieniami domu Bożego pięknymi słowy naszych dawnych pieśni kościelnych: «Boże w dobroci nigdy nie przebrany,» lub «Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie,» gdy staruszek kapelan, błogosławiąc ludowi, szedł procesyjnie pod baldachimem, niosąc Przenajświętszy Sakrament, podtrzymywany pod ramię przez *honorarios* z parafian.

Przy odśpiewaniu czterech ewangelii w czasie uroczystości Bożego Ciała miał nasz R. wiele pracy — bo należało pięknie przystrójć zielenią, dywanami i starymi makatami,

wonnymi bukietami i polnymi kwiatami wszystkie cztery ołtarze; urządzić cały program uroczystości dla noszenia krzyża, chorągwi, ołtarzyków Matki Boskiej przez panny; uszykować chłopaków do mszału, do dzwonek, do lichtarzy, przybrać ich w białe komeżki, zresztą uporządkować tę niesformą, swawolną drużynę i naznaczyć każdemu właściwe miejsce w procesyi, jako też mieć nadzór nad biało ubranymi dziewczątkami, mającemi sypać kwiecie pod nogi celebransowi. Wtedy nasz poczciwy R. miał postać głównodowodzącego i, mimo jego zwyczajnej łagodności, nie radziłbym wtedy nikomu sprzeciwiać mu się, — czuł bowiem całą odpowiedzialność przed Bogiem i całą parafią.

Trzeba też było widzieć, z jaką godnością, mając oko na wszystko, poprzedzał nieco z boku księdza kapelana; jak nieznacznie wymykał się od ostatniego ołtarza, aby na chórze, z akompaniamentem głośniego pedału, spotkać wcielonego Boga-Człowieka, niesionego pod baldachimem, uroczystymi rytualnymi słowy: «Rex Christe primogenite.»

Niemniej był też imponującym w czasie solennej rezurekcyi, gdy trzy razy z proce-

syą obchodzono kościół. Piękna pieśń nasza: «Wesoły nam dziś dzień nastał» brzmiała donośnie w jego ustach. Nie lubił tylko głośnych salw ze strzelby, którymi przed laty spotykano przechodzącą procesyę, i całą noc pilnował, aby należycie pogaszono beczki smolne, zapalane wtedy na dziedzińcu kościelnym.

Tak więc skromnie, wedle sił miejscowych, chwalono tu Boga w czasie wielkich uroczystości. Stary R., jako miejscowy organista, wielce się do tego przykładał, przestrzegając we wszystkim dawne zwyczaje i starając się zaskarbić sobie przychyłność parafian,— co też w zupełności osiągnął, bo wszyscyśmy mocno odczuli jego stratę.

Jednakże oryginalny sposób, którym nasz organista śpiewał stare kolędy, nie mógł ująć baczności i uwagi młodzieży, pochopnej zawsze do figłów i wesołości. Wszelkimi więc sposobami niepostrzeżenie wyciągali go na powtarzanie niektórych zwrotek, które R., widząc, że na niego zwracają uwagę, z dziwną przesadą modulował swym najuroczystszym głosem.

Zdarzyło się więc raz, że zjechało się do nas kilka osób pokrewnych na święta Bo-

żego Narodzenia. W liczbie ich było kilku młodzieży, żywej, wesołej, dla której każdy nowy koncept stawał się powodem do prawdziwej zabawy. Zauważyli oni, że R. jedną zwrotkę ze starożytnej kolędy, a mianowicie:

« Dobył tak dźwięcznego głosu baraniego,
Aż się Józef stary przestraszył od niego»

śpiewał zawsze przyciszonym głosem, jakby z pewną obawą. Zapytany przez paniczów, przyznał się najnaiwniej, że, «przysięgam Bogu,» JW. dziedzic (noszący imię Józef) gotów się za to obrazić. Wolał więc tę zwrotkę śpiewać bynajmniej nie fortissime, a najlepiej zupełnie ją opuszczać.

Paniczom zaś w to graj.

W sam dzień Nowego Roku zebrali się na chórze, mimo protestacyi organisty i założonej przez niego zaszczepki przy drzwiach.

Dostawszy się tam prawie przebojem, namówili go do rozpoczęcia tej właśnie kolędy, a gdy doszło do niefortunnej zwrotki, zmuszali go do ciągłego jej powtarzania.

Wszelkie wymówki pocącego się ze strachu R. do niczego nie posłużyły, — bo jakżeż tu nie usłuchać samych jasnych paniczów,

co każde powtórzenie zwrotki popierają wsunięciem rubelka do ręki? Wszakże to bynajmniej nie jest przeciwne kanonom kościelnym...

Ów zaś dziedzic, klęczący według swego zwyczaju w czasie Mszy Św. u krated przed wielkim ołtarzem, łatwo się domyślił walki, staczanej przez organistę z paniczami, i w duchu się z tego uśmiechał. Lecz gdy owo powtarzanie stało się zanadto częstem i rażącym, odwrócił się ostentacyjnie i spojrział na chór. Wtedy organista w jednej chwili zaprzestał śpiewu i, bardzo zaambarasowany, zaczął brać jakieś szumne akordy.

Widocznie jednak pokusa rubelkowa wzięła górę, bo R. począł znowu beczeć uroczystym głosem tę samą zwrotkę o kołędowym starym Józefie i to samo, za każdym odwróceniem się dziedzica, kilka razy się jeszcze powtarzało.

Nareszcie suma się skończyła; pobożni zaczęli wychodzić z kościoła; potworzyły się grupy na przedsionku przy wsiadaniu do sanki, a organista czuł się w obowiązku złożyć publicznie dziedzicowi noworoczne życzenia w dość szumnej wierszowanej oracyi

o szczęściu, zdrowiu, pomyślności dla całego dostojnego domu.

Lecz dziedzic, doskonale zrozumiawszy figiel młodzieży, po wysłuchaniu tej oracyi, z udaną powagą odezwał się do organisty w tych słowach:

— Nie spodziewałem się, mój R., abys mnie w kościele w czasie Mszy Św. na publiczne pośmiewisko wystawiał. Mógłbyś też nareszcie śpiewać coś innego, jak powtarzać nieustannie zwrotki o starym Józefie. Pamiętaj, aby się to drugi raz nie powtórzyło, bo sam będziesz tego żałował.

Widząc tę niby groźną twarz dziedzica, biedny organista stracił język w gębie. Złożywszy ręce na piersiach, najpokorniej go przeproszał, składając głośne pocałunki na jego ręce i patrząc mu miłosiernie w oczy. Wszyscy zaś panicze, ugrupowani tuż za nim, wprost od śmiechu się dusili. W tak trudnem położeniu zwrócił się nasz biedny R. do swych kusicieli, stojących za jego plecami, i grożąc im palcem, rzekł z wymówką:

— A widzicie panicze, przysięgam Bogu, coście mi narobili... gotów jeszcze, broń Boże, zabronić wydawania mi ordynaryi.

Fakt ten wzięty z natury; choć miał on miejsce blisko przed czterdziestu laty, widzę jakby na jawie postać poczciwego naszego organisty, który rzeczywiście był jednym z sympatycznych typów z niedawnego starego autoramentu.

* * *

Powiedzieć jeszcze muszę, że wogóle prowincjonalni nasi organiści odznaczali się od dawna pewną oryginalnością, pragnąc mimowolnie zaimponować znajomością łaciny tłumowi prostaczków-parafian, którzy ich śpiewu z uszanowaniem słuchali. W wyjątkowych nawet razach kłecili nieudolne wierszydła z powodu różnych solennych okazji.

To przypomina mi pewną anegdotę, opowiedzianą mi przed laty przez stuletniego starca, odznaczającego się nadzwyczajną pamięcią.

W drugiej połowie XVIII-go wieku jeden z Szembeków zasiadał na biskupiej stolicy plockiej. Wiadomo zaś, że ta stara rodzina polska, pierwotnego pochodzenia niemieckiego, pieczętuje się herbem własnym, wyobrażającym trzy róże czerwone w polu białem pomiędzy dwoma kozłami na poprzecznych opaskach.

Wypadło kiedyś księdzu biskupowi Szembekowi wizytować jeden z wiejskich kościołów swej dyecezyi. Proboszcz miejscowy spotkał go uroczyście u drzwi kościelnych rytualnym hymnem: «*Ecce Sacerdos magnus,*» a po odbyciu całego solennego nabożeństwa odprowadzał go z uszanowaniem do karety, gdyż ksiądz biskup miał natychmiast jechać dalej na wizytację innych kościołów.

Naturalnie stare organy pod palcami miejscowego dławidudy grzmiały jakimś solennym marszem tryumfalnym z akompaniamentem śpiewu, w którym przestraszony proboszcz, przy brzmieniu głośnego pedału, dosłyszał często powtarzaną zwrotkę: «Hec, bek, Szembek!»

Potniał ze strachu starowina pleban, aby ksiądz pasterz nie zauważył przypadkiem tej niefortunnej zwrotki i nie zapytał się go o jej znaczenie.

Wszystko jednak szło szczęśliwie. Biskup wsiadł do karety i zadowolony odjechał. Mimo to, proboszcz, po odprawieniu asysty sąsiedniego duchowieństwa, wziął swego organistę na konfesatę, zapytując go obcesowo:

— Co też to aspan wyśpiewywał dziś na chórze? Aż ciarki po mnie przechodziły,

bo nie umiałbym się z tego wytłómaczyć przed księdzem biskupem.

— Cóż, proszę księdza proboszcza— odrzekł organista, — to kantata mego układu, napisana na powitanie dostojnego naszego pasterza, a oparta na mej głębokiej znajomości heraldyki polskiej. Nie było czego się lękać, bo z pewnością zasłużyłbym tylko na pochwałę księdza biskupa.

— Ale powtórzże aspan tę sławną kantatę, bo nieustannie wrzeszczałeś, naciskając pedał, jakieś hec! bek! coś niby z tatarska.

— Bynajmniej nie z tatarska, księżę proboszczu, ale czysto po polsku. Oto są słowa mojej kantaty:


Tres Rosae	Vivat Biskup
Due Kozae	Generose!
Hec, bec,	
Szembek!	

co właściwie dodałem już tylko dla gładkości rymu!

Zdarzali się więc nieraz pomiędzy naszymi prowincjonalnymi organistami i domośli poeci.



LEKARZ NADWORNY.

d dawna to było w ogólnym zwyczaju, że każdego lekarza tytułowano doktorem; przeciwnie, nie znano u nas tak często szczególnie w Galicyi spotykanych doktorów prawa, doktorów filozofii, doktorów nauk przyrodniczych, n. p. chemii, botaniki, mineralogii, zoologii i t. p., bo tam ten stopień naukowy nadają niemal każdemu, kto skończył wyższy zakład naukowy. Prawdopodobnie pochodzi to stąd, że w Państwie Rosyjskiem w uniwersytetach i w wyższych fachowych zakładach naukowych jest kilka stopni dla każdej specjalności. I tak: kto uczeszczał na wydział prawny, może po jego ukończeniu wyjść ze stopniem naukowym rzeczywistego studenta lub kandydata

praw, co zależy od powodzenia przy egzaminach. Kształcąc się dalej w swej specjalności, można zdawać egzamin na magistra, a następnie jeszcze doktoryzować się, na co się otrzymuje dyplom, dający daleko szersze prawa przy służbie państwowej, bądź w sądach czyli w trybunałach, bądź na profesurze, lub poświęcić się prywatnej adwokaturze, bardzo głośnej i nieraz bardzo donośnej, szczególnie w obydwóch stolicach. I adwokatura dzieli się zwykle na cywilną i kryminalną, bynajmniej nie urzędownie, lecz z samego poczucia własnej specjalności, rzeczywiście zupełnie odrębnej w praktyce. To samo widzimy na wydziałach teologicznych akademii duchownych i od dawna w medycynie, która posiada dwa stopnie naukowe: zwyczajnego lekarza, otrzymującego po skończeniu wszechnicy dyplom na prawo leczenia w całym państwie, i doktora medycyny, który się w kraju doktoryzował, to jest zdawał specjalny egzamin i napisał rozprawę naukową w lat kilka, a być może i kilkanaście po ukończeniu nauk. Nadmienić wszakże wypada, że rządowe wyższe posady lekarskie, tak wojskowe, jak i cywilne, a nawet autonomiczne

to jest ziemskie, w guberniach, gdzie funkcjonują te instytucje, zwykle obsadzone są od niejakiego czasu przez dyplomowanych doktorów medycyny.

Niemniej dziś, jak i dawniej, każdego lekarza nazywają doktorem, a częściej jeszcze przez grzeczność «panem konsyliarzem.»

Pochodziło to zapewne z tej wrodzonej u nas manii podwyższania, jedynie przez grzeczność, każdego tytułu o kilka stopni. Iluż to dawniej, a nawet dziś jeszcze spotykamy zwyczajnych poruczników awansowanych na pułkowników, prostych dependentów sądowych tytułowanych radcami i sędziami; tytuły te tak do nich przyrosły, że powszechnie uważano je za autentyczną oznakę honorową, a i ci, którym je nadawano, sami po kilku latach wierzyli, że się im to najlegalniej należy.

To mi przywodzi na myśl pewną nominację, którą sam w gub. Wołyńskiej, w przystępie dobrego humoru, przed laty 30-tu do pełniłem. Miałem na wsi najbliższego sąsiada o miedzę, najpocziwszego człowieka pod słońcem, lecz nader żadnego tytułu, nadawanego na kopercie. Ponieważ w owym czasie

ustaly już zupełnie w gub. Wołyńskiej wybory szlacheckie, utyskiwał przede mną ten poczciwiec, że go już na zawsze ominęła sposobność zdobycia sobie jakiego takiego tytułu, tak mile brzmiącego przy rodowem nazwisku; tem bardziej on to odczuwał dlatego, że każdy z nas sąsiadów posiadał tę miłą etykietkę. Otóż zajechawszy do niego kiedyś na dziedziniec, wysiąść nie mogłem z powozu, z powodu psów podwórzowych, literalnie opadających każdego obcego przybysza. Naturalnie za pomocą gościnnego gospodarza wydobyłem się z tej niemilej pozycji; lecz zauważyłem, że kochany nasz Karol najgłośniej nawołuje na ogromnego kundysa, zwanego «Regentem,» który był wyraźnym przywódcą całej psiej bandy. W przystępie dobrego humoru powiedziałem mu żartobliwie: «Otóż i tytuł znaleziony! Od dnia dzisiejszego zaczniemy cię, mój drogi, tytułować regentem.» Żart ten, za który nowy nominat z początku się gniewał, tak się jakoś zaaklimatyzował, tak po pewnym przeciagu czasu przyrósł do jego nazwiska, że wkrótce w całej szerokiej okolicy inaczej nie tytułowano poczciwego naszego sąsiada. Cała służba na-

zywała swego pana: Jasnym panem regentem widywałem ten tytuł na kopercie, na listach, adresowanych do niego i do jego żony, do której najpoważniej, bez myśli uchybienia tej zacnej osobie, pisywano: «Do rąk własnych pani regentowej Dobrodziejki.» Ale co mnie najbardziej bawiło, że i sam nasz regent zaczął naprawdę wierzyć w autentyczność swej godności, czem mu wszakże nieraz na osobności srodze dokuczałem.

Z pewnością, że anegdotka ta o domorosłym naszym regencie nie ma żadnego związku z charakterystyką typu dawnego lekarza tutejszego, ale maluje ona poniekąd naszą wrodzoną słabostkę i manię do tytułów, i dlatego, choć wplątała się w moje opowiadanie jak istny Piłat w Credo, bynajmniej jej stąd nie wykreślam.

W mej młodości jeszcze lekarze wileńscy najbardziej mieli u nas powodzenie. Ponieważ słynny uniwersytet w Wilnie zamknięty został zaraz po 1831 roku, z pozostawieniem tylko t. zw. Akademii medycznej, liczba jego wychowañców była dość szczupła. Wszyscy mieli rozległą i zasłużoną praktykę, lecz stopniowo wymierali tak, że już przed

30-tu laty można było na palcach policzyć tych, którzy słuchali wykładów: obydwóch braci Śniadeckich, Mianowskiego, Franka, von Bradtkiego i innych słynnych profesorów wszechnicy wileńskiej.

Wolnopraktykujących lekarzy, szczególnie na prowincyi, było mało, nie każde miasto powiatowe posiadało go, a po prywatnych miasteczkach mieszkali tylko tacy, którzy stale byli utrzymywani przez zamożnych dziedziców. Ci zaś latem i zimą przeważnie u siebie na wsi po pałacach i dworach rezydowali. Dla własnej więc wygody i dla bezpieczeństwa swego zdrowia utrzymywali rocznych nadwornych lekarzy, którym dawano wygodny dworek na pomieszkanie, sutą ordynaryę, konie dla rozjazdów i jakich sto lub półtora dukatów rocznej pensyi, co wówczas przedstawiało znaczne wynagrodzenie, tem bardziej, że wolna praktyka nie była lekarzowi wzbroniona. W większych dominiach z samego poczucia ludzkości utrzymywali dziedzice szpitale na kilkanaście łóżek dla ludzi dworskich i poddanych. Rząd bynajmniej ich do tego nie zmuszał, lecz oni sami, jako reprezentanci policyi dominialnej, dbali o wzglę-

dny dobrobyt i zdrowotność podwładnej im ludności. Przy takich szpitalach utrzymywano własne apteki i uzdolnionych felczerów, których wyraźnym obowiązkiem było, pod ścisłym dozorem lekarza, nieść doraźną pomoc po wsiach okolicznych, dozorować chorych w szpitalu i szczepić ospę dzieciom. W niektórych nawet miejscach utrzymywano osobnych aptekarzy, lecz apteki dworskie nie miały charakteru uprzywilejowanych aptek wolnych, otwartych po miastach powiatowych, dokąd osobom prywatnym wypadało posyłać po lekarstwo, zapisywane na recepty. Przypisać należy, że obecnie, od lat kilkunastu, zrobiono wielki postęp pod tym względem na Wołyniu, tak co do liczby wolnych aptek, rozrzuconych po różnych miasteczkach w obrębie powiatu, jak i co do liczby wolnopraktykujących lekarzy, którzy na własne ryzyko, bez żadnego stałego wynagrodzenia, osiadają w biedniejszych miasteczkach.

Nowootwarty w Kijowie uniwersytet św. Włodzimierza, z wydziałem lekarskim, który już w piątym dziesiątku bieżącego stulecia nabył zasłużonej sławy, mając takich znakomitych profesorów, jak: Korowajew, Pirogow,

Mering i inni, nie dostarczył jeszcze zaraz po 1831 r. dostatecznej liczby lekarzy dla tutejszych gubernii. Wtedy im jeszcze zbyt nie ufano; nic więc dziwnego, że bogaci panowie przywozili ze swych wycieczek zagranicznych, dla objęcia u nich posad nadwornych lekarzy, medyków obcych, przeważnie z wszechnicy wiedeńskiej, od dawna bardzo renomowanej. Byli to więc po większej części Niemcy, często jednak zdarzali się i żydzi niemieccy, a może i galicyjscy, którzy się tu wkrótce zupełnie aklimatyzowali. W szkołach galicyjskich wszystkie wykłady były jeszcze wówczas zupełnie niemieckie.

Z czasem ci lekarze, po rozszerzeniu swej zupełnie zasłużonej praktyki, lub po śmierci pana, który ich z zagranicy sprowadził, osiadali w sąsiednim mieście powiatowem; dobrze się im pod wszelkimi względami powodziło, póki ich stopniowo nie zastąpili młodzi medycy kijowscy. Oni jednak stanowią już świeży kontyngens medyczny w gub. Wołyńskiej, dlatego nie zaliczam ich bynajmniej do tutejszych lekarzy starego autoramentu.

Niektórzy z dawnych lekarzy oddawali się specjalnie akuszeryi, jak n. p. stary doktor Lamprecht z wszechnicy wiedeńskiej, mieszkający w Równem, sprowadzony niegdyś do Szpanowa przez księcia Michała Radziwiłła. Przy pomocy d-ra Lamprechta przyszła na świat większa część pokolenia obywatelskiego, dotąd żyjącego.—D-r Par był nadwornym lekarzem pułkownika Marcina Tarnowskiego z Podberezec. — D-r Romański, osiadły w Lubarze, początkowo jako nadworny lekarz Tadeuszostwa Walewskich, który leczył hydropatyą, wedle metody słynnego d-ra Prisztza z Graefenberga na Śląsku. Latem zjeżdżało się do Lubaru mnóstwo gości na kurację — i była epoka, że d-r Romański zażywał wielkiej sławy.— D-r Dropsy, wychowaniec Uniwersytetu Jagiellońskiego, nadzwyczaj miły człowiek, który towarzyszył w podróży księciu Romanowi Sanguszcze starszemu; spotkał się on z nim w Moskwie, i wróciwszy razem do gub. Wołyńskiej, osiadł na stałe jako przyboczny lekarz księcia w Zaslaviu, gdzie przeważnie leczył wprowadzoną przez siebie nową wówczas metodą elektryczności. — D-r Iwanowski z Krakowa, który

przed kilkoma laty zmarł w sędziwym wieku w Szepetówce, jako powszechnie szanowany lekarz fabryczny.—D-r Taroni w Ostrogu, lekarz wileński, sprowadzony niegdyś do Krzywina przez księstwo Maksymilianostwo Jabłonowskich, i d-r Pohowski, również Wileńczyk, słynęli jako dobrzy lekarze, szczególnie jako znakomici dyagnosty chorób wewnętrznych.—D-r Orzechowicz, nadworny lekarz Chodkiewiczów z Młynowa, miał również obszerną praktykę, którą później wyłącznie poświęcił pielęgnowaniu nieuleczalnie chorej w Krzywiniu księżnej Jadwigi z Jabłonowskich Lubomirskiej.—D-r Richter, który po nim osiadł w Młynowie; obydwaj bracia Kaczkowscy: Michał, mieszkający stale w Beresteczku u Platerów, i Karol, były generał, sztablekarz byłych wojsk polskich, rezydujący początkowo w Krzemieńcu, a później w Żytomierzu, który około 1845 r. osiadł w Odesie, byli również obaj bardzo wzięci w gub. Wołyńskiej.—D-r Choński, Wileńczyk, który spełniał funkcje inspektora lekarskiego, t. j. prezesa wołyńskiej gubernialnej komisji lekarskiej.

Trudno mi tu wyliczyć wszystkich lekarzy ówczesnych w gub. Wołyńskiej, bo pod

tym względem pamięć mię nieco zawodzi. Wspomnieć jednak jeszcze muszę o d-rach: Pawłowskim z Dubna, Wołkowińskim z Ostroga, Maluszyckim z Kowla, dotąd żyjącym Miecznikowskim ze Zviahla, którzy przez długie lata byli rządowymi powiatowymi lekarzami. Zajęci urzędowymi czynnościami, mało się oddawali prywatnej praktyce; mimo to, kilku z nich dorobiło się znacznej fortuny. Pokupowali w gubernii Wołyńskiej piękne wsie, które przeszły w spadku na ich synów, należących już tem samem do grona miejscowego obywatelstwa i głosujących, wraz z innymi, na wyborach szlacheckich.

Okolo czwartego i piątego dziesiątków bieżącego stulecia używał wielkiej wziętości w naszych stronach niejaki Michałko, który rzeczywiście zwał się Wojciechowskim i posiadał dyplom lekarski z uniwersytetu charkowskiego. Dla oryginalności przybrał ludowy pseudonim Michałka, gdyż leczył przeważnie ziołami, za które kazał sobie drogo płacić w własnej swej aptece w miasteczku Machnówce pod Berdyczowem, gdzie stale mieszkał i skąd na krok się nie ruszał, gdyż liczni pacycenci do niego z dalekich stron

się zjeżdżali. Dorobił się znacznej fortuny, a wdowa po nim wyszła za księcia Radziwiłła z linii berdyczowskiej. Był także w powiecie Kaniowskim, we wsi Potoku, niejaki Potapenko, do którego w owej epoce mnóstwo osób z gubernii Wołyńskiej po poradę się udawało. Nic nie umiem powiedzieć o sposobie leczenia tych dwóch medyków, *quasi* samouczków, którzy zakrawali trochę na znachorów lub owo czarzy, tak często spotykanych pomiędzy ludem mazurskim w Królestwie Polskim. Sądzę jednak, że tajemnie byli oni dyplomowanymi lekarzami; inaczej z pewnością władze rządowe nie dozwolilyby im obszernej praktyki, z którą bynajmniej się nie ukrywali, gdyż u obydwóch był zawsze wielki zjazd pacjentów, nawet ze stron bardzo dalekich. Jednak ludzie poważniejsi, niewierzący w podobne gusła, szczególnie ci, którym środki na to pozwalały, często w ważniejszych wypadkach uciekali się do porady słynnego d-ra Kargera, mieszkającego we Lwowie, który w owej epoce używał wielkiej sławy. Pamiętam, jak w czasach mego dzieciństwa sprowadzano go nieraz na

Wołyń, za co naturalnie kazał sobie opłacać sute honorarium.

Do dawnych lekarzy również zaliczyć należy d-ra Ulanickiego, byłego sztab-lekarza jednego z pułków na Kaukazie. Po wzięciu dymisyi, osiadł początkowo w miasteczku Ostropolu pod Lubarem, a następnie w Żytomierzu; leczył z wielkim powodzeniem homeopatyą — i niektóre jego kuracje były rzeczywiście zdumiewające, czego sam przed laty w mej rodzinie doświadczyłem. Słynny homeopata dr. Lütze z Wrocławia, następca doktora Hahnemana, założyciela metody homeopatycznej, z największym uznaniem odzywał się o sposobie leczenia d-ra Ulanickiego.

Jakież w owym czasie były właściwie funkcyje nadwornego lekarza? — bo typ ów był wtedy najbardziej rozpowszechniony w moich stronach, stąd właściwie rekrutowali się medycy, którzy mieli obszerniejszą praktykę w danej okolicy. Funkcye te bynajmniej nie były uciążliwe, co poniekąd wszakże zależało od osobistego charakteru samego pana, jego żony i od łatwiejszego lub trudniejszego zżywania się z ludźmi samego pana medyka. Naprzód powinien on być co rano przekonać

się o stanie zdrowia członków całej rodziny, szczególnie drobnych dzieci; przepatrywać cętle czyli jadłospis ich dziecięcego obiadu i zaordynować inne potrawy, jeżeli tylko co nie normalnego zauważył; następnie odwiedzić samego pana, jeżeli tego po nim wymagał, donosić mu o stanie sanitarnym całego dworu i okolicy, opowiedzieć się, jeżeli gdzie był wezwany do chorego,—lecz przeciwnie mówić z nim tylko o rzeczach obojętnych, niemających najmniejszej styczności z medycyną, jeżeli pan był drażliwym w tej kwestyi. Tym sposobem dowiadywał się pan z boku, *quasi* nieoficyalnie, od swojego nadwornego lekarza o wszelkich drobnych zajściach, tak we dworze, jak w obrębie dóbr, to jest o wszystkim, co wychodziło ponad poziom zwyczajnego życia w tym małym, odrębnym, podwładnym mu światku. Bardzo szczęśliwie, jeżeli doktor uprawiał jeden z talentów towarzyskich, w którym sam pan gustował, jak n. p. grę w winta, w szachy, w bilard, lub jeżeli mógł towarzyszyć na polowanie swemu pryncypałowi, oddającemu się z zamięłowaniem tej szlachetnej zabawie. W takim razie stawał się on dla pana coraz bardziej nie-

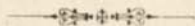
zbędnym, nieznacznie wkraadał się do jego łask i stanowisko jego na dworze stawało się zupełnie ustalonym. Nieumiejętną kurację składano wtedy na karb nieszczęśliwych okoliczności lub niezachowania przez pacjentów przepisów pana konsyliarza.

Z samą panią należało postępować jeszcze ostrożniej, gdyż natury kobiet zwykle są wrażliwsze, — lecz łatwiej też osiągał lekarz zupełny wpływ na panią, trzymając ją w nieustannej trwodze o zdrowie dzieci i własne. Jeżeli zaś które z państwa choć trochę chorowało na imaginację, to lekarz nadworny, człowiek sprytny i dbający o swą posadę, umiał zgrabnie wyzyskiwać tę słabostkę i podtrzymywać to usposobienie, potrzebujące niabyto nieustannego leczenia, pod najłagodniejszymi i najprzyjemniejszymi formami.

Zauważywszy chęć pani odświeżenia się trochę zagraniczną podróżą, z wiosny jeszcze mówił lekarz nieustannie o koniecznej potrzebie udania się do wód, a następnie w jesieni do morza, czem nieznacznie powoli przygotowywał jej męża do tego niespodziewanego i z zimy nieprzewidzianego wydatku, tak, że później spełnienie tego projektu przycho-

dziło najnaturalniej, bez potrzeby dla pani użycia ataku nerwów i spazmów. To było powodem, że lekarz nadworny przeważnie wpływał na samą panią.

Szczęśliwie jeszcze, jeżeli, będąc usposobienia spokojnego, nie nadużywał tego wpływu, nie waśnił pożycia małżeńskiego swego pryncypała, roznosząc niepotrzebne plotki i kując pokątne intrygi. Pewna godna, zacna i powszechnie szanowana matrona nasza, nie tak dawno zmarła, posiadająca przy wielkich cnotach chrześcijańskich wielki rozum i znajomość życia, powiedziała mi niegdyś, przed laty, że nic niema niebezpieczniejszego dla młodej mężatki w codziennem pożyciu, jak wpływ lekarza nadwornego. Szanując własny spokój małżeński, nigdy go do zbytnej poufności dopuszczać nie należy. I miała kompletną słuszność. Ileż to bowiem w mem życiu widziałem przykładów, że bogate panie i dziedziczki znacznych fortun wychodziły po owdowieniu, a często nawet po rozwodzie, za mąż za własnych nadwornych lekarzy, doznając zwykle później bardzo bolesnego zawodu!



FURMAN.



W epoce, gdy podróże własnymi końmi były daleko dalsze i daleko częstsze, osobistość furmana w każdym dworze była o wiele ważniejszą. Dziś lada parobek stajenny dowiezie do stacyi kolejowej — bo to bynajmniej nie jest podróżą, a raczej jest wygodnym spacerem — lekkim powozikiem, przyczem kolejowe kufry państwa lub przyjezdnych gości idą zwykle z tyłu, na osobnym bagażowym furgonie. Dziś dalszych, kilkodniowych podróży swymi stajennymi końmi nikt już nie odbywa. Każdy boi się ich jak ognia, a jeżeli złośliwe fatum zmusi kogo do takiej ekskursyi, to pilnie studyje naprzód mapę kolejową, w celu przejechania najdłuższej przestrzeni w wagonie, aby stamtąd gdzieś dojechać do kogoś zna-

jomego, i już jego końmi odbyć krótszą kółową przestrzeń. Przyznać bowiem należy, że coraz bardziej rozszerzająca się sieć kolejowa z nowymi drogami podjazdowymi, zmieniającymi od razu cały wygląd danej okolicy, zrobiła znaczne postępy w tych ostatnich latach kilkunastu. Dziś już wagonem dostać się można wgląd Polesia za pomocą sieci tak zwanych linii poleskich, poczynających się u nas od miasta Równego, do miejsc, dokąd przed laty trzydziestu dojeżdżało się zaledwie saniami po zupełnem zamarnięciu bagien tamtejszych, lub w czasie rozlania wód wiosennych jedynie płaskodenną łodzią, zwaną szuchaleja.

W samym środku gub. Wołyńskiej szerokotorowa, niedawno oddana na użytek publiczny linia do miasta Łucka i Krzemieńca, jak również budujące się do miasteczka Mizocza i ze stacyi Szepietówki przez Stary Konstantynów do miasta Płoskirowa w gub. Podolskiej, oraz linia wązkotorowa pomiędzy Żytomierzem i Berdyczowem ułatwiły już i ułatwią jeszcze bardziej wewnętrzną komunikację na całym Wołyniu. Zbudowano również niedawno kilka dróg bitych szosowych,

łączących pomiędzy sobą miasta: Łuck, Dubno, Krzemieniec, Równo, Ostróg, Lubar, Kowel, Młynów, Włodzimierz. Pamiętamy doskonale, że niedawno jeszcze gub. Wołyńska posiadała tylko, i to zaledwie od 1853 roku, jedną drogę bitą, wprawdzie znakomicie zbudowaną i utrzymaną, łączącą w prostej linii fortecę Kijów z fortecą Brześć Litewski, przez miasto Żytomierz, Zwiahel (Nowogród Wołyński), Korzec, Równo, Łuck i Kowel. Co zaś było poza tem, stanowiły jedynie drogi tak zwane gruntowe, nieraz niepodobne do przebycia w czasie roztopów wiosennych. Wprawdzie owe podjazdowe drogi bite, które w ostatnich latach kilku budował gubernialny zarząd inżynierji z ramienia ministerjum spraw wewnętrznych, na rachunek pozostalności od sum tak zwanych ziemskich, pozostawiają wiele do życzenia, gdyż są to drogi bynajmniej nie szabrem wyłożone, jak zwykle drogi szosowe, lecz po prostu niegodziwy bruk, układany z nierównych, polnych kamieni, wprawdzie tani, lecz stanowiący istną torturę dla podróżujących, a szczególnie dla koni. Taka brukowana droga łączy, i to nie na całej przestrzeni, lecz tylko w miej-

scach bardziej grzązkich i piaszczystych, miasta Ostróg i Krzemieniec, i stację kolei pol-zach. Peczanówkę z miasteczkiem Lubarem, będącem ważnym punktem handlowym i przemysłowym. O ile mi wiadomo, zarzucono nadal podobne budowanie dróg podjazdowych tego systemu, odróżniającego się bardzo niekorzystnie od innych dróg, rzeczywiście doskonałych, wysypanych drobnym, potłuczonym szabrem, czyli kamieniami, które na swój rachunek przeprowadziło ministerium wojny w okolicach Łucka, Równego i Dubna. W każdym razie, kto pamięta ogólny stan dróg w gub. Wołyńskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia, ten niezawodnie przyzna, żeśmy się doczekali znacznych ulepszeń i postępu, choć, Bogiem a prawdą, wiele pozostaje jeszcze do zrobienia, bo powszechne zaprowadzenie dobrych komunikacji jest jednym z głównych bodźców do tak pożądanego rozwoju przemysłowego i ekonomicznego.

W takim jednak stanie, jak dawniej, każdemu daleko uciążliwiej i trudniej było podróżować. Mieliśmy też w owym czasie daleko lepszych furmanów, z którymi nasi dzi-

siejsi nie mogą się nawet porównać. Bynajmniej nie mówię o tych eleganckich stangretach, powożących z wysokiego kozła końmi rasowymi, ślicznie uprzężonymi w angielskie chomąta, których i dziś widzimy po niektórych domach obywatelskich, posiadających własne stada koni wysokiej krwi. Takimi zaprzęgami jeździ się zwykle tylko na spacer w bliskości domu; możnaby ich nawet użyć do miasta, gdzie ruch uliczny bywa ogromny. Chciałbym jednak widzieć takiego eleganckiego stangreta na opakowanej, poczwórnej karecie, w ciemną, dżdżystą noc, po górzystych, rozgrzężłych drogach, przeciętych w wielu miejscach sławnymi naszymi mostkami wołyńskimi, lub w silną śnieżycę, kiedy wszystkie drogi zupełnie zawiane—jakby on sobie dał radę i czy nie wywaliłby gdzie w rowie, lub nie zanocował wśród białej równiny, narażając siebie, konie i samego pana na niechybne zmarznięcie. Tak samo poczciwy nasz, tęgi i zuchowaty furman wołyński ze starego autoramentu, nadzwyczaj śmiały wobec każdego niebezpieczeństwa, niechybnie połamałby ekwipaż, pokaleczyłby konie, zaczepiałby co chwila inne przejeżdżające po-

wozy, lub co najmniej wywraliby latarnie uliczne wśród zgielku miejskiego, któryby go z pewnością ogłuszył. Dlatego też stangret miejski, lub spacerowy, jak i nasz dawny furman wołyński, są to ludzie fachowi, o zupełnie odrębnych specjalnościach, które od najmłodszych lat uprawiać należy. Kreśląc te obrazki wołyńskie, mam jednak na myśli tylko dawnego naszego furmana, którego typ staje się coraz rzadszym, bo przy coraz gęstszej sieci kolejowej pole jego działalności staje się coraz bardziej zacieśnionem.

Dawniej, przed kilkadziesiąt laty, wszyscy, oprócz wojskowej i gołowącej młodzieży, odbywali największą podróż własnymi końmi. Nie lubiano jeździć pocztą, bo niewiele było na Wołyniu pierwszorzędnych traktów pocztowych z dostateczną liczbą koni. Na ubocznych utrzymywał rząd tylko po kilka koni, dla przewożenia nielicznej ówczesnej korespondencji. Była więc obawa, że gdzieś niechybnie koni zabraknie i że wypadnie wyczekiwać po całych dniach w brudnej izdebce na powrót koni z sąsiedniej stacyi i być tem samem zupełnie na lasce żyda poczthaltera, w przewidywaniu nawet porzą-

dnego wygłodzenia się. Wówczas bowiem w całym kraju rząd oddawał z entreprizy utrzymywanie poczt po wszystkich traktach przeważnie żydom i rzadko kto z chrześcijan, to jest z sąsiednich wiejskich obywateli, zajmował się tym procederem. Był on jednak wielce korzystnym. Co trzy lata w mieście gubernialnem ogłaszano publiczną licytację na wzięcie w entreprizę wszystkich stacyi w gubernii. Główniejsze, na bardziej uczęszczanych traktach, posiadały po 60 do 70-iu koni; liczba ich w miastach gubernialnych dochodziła do 100 i 120-tu; stosownie do zatwierdzonych przez osobną komisję na następne trzechlecie cen na owies, siano i słomę, ogłaszano cenę, którą rząd miał płacić rocznie poczthalterowi za utrzymanie jednego konia; rozpoczynano publiczną licytację *in minus*, po złożeniu stosownej kaucyi. Ceny te od konia, o ile pamiętam, wahały się na Wołyniu od 120 do 150 rubli rocznie. Lecz były lata, w których się podnosiły do 180 i wyżej. To stanowiło rodzaj sutej zapomogi, pożądaney dla poczthaltera, gdyż osobno rząd płacił mu wedle taksy za przewóz wszelkiego rodzaju poczty i sztafet, i miał on

prawo pobierać od każdego podróznego po 2½ kopiejek od konia i wiorsty, czyli tak zwane «progony,» co mu zupełnie wystarczało na utrzymanie koni, bryczek, opłacanie pensyi pocztylionom, zwanym «jamszczykami,» niezbędne rozmaite remonty i t. p., i t. p.

Przy szczęśliwych okolicznościach, cały zasilek rządowy, a przynajmniej znaczna jego część, stanowił zysk pocztaltera — i dlatego dziś nie mogę pojąć: czemu w owych czasach nikt prawie nie dorobił się właściwie fortuny na tym korzystnym procederze. Wprawdzie pocztą jeżdżono z szaloną szybkością; każdy podrózny niemiłosiernie pędził, bo to było w duchu czasu i stanowiło niejako pewną modę; nie mówiąc już o kuryerach, feldjegrach i innych wojskowych, którzy literalnie przez szaloną jazdę konie zabijali. Drogi bywały szkaradne, w wielu miejscach przez rok cały piaszczyste, a grzązkie na wiosnę i w jesieni. Na twardej znowu szosowej drodze kijowsko-brzeskiej, jedynej wówczas w gub. Wołyńskiej, konie po pół roku zupełnie nogi traciły, tak, że je świeżemi zastępować musiano. Jamszczycy, zwykle nałogowi pijacy, niemiłosiernie się z końmi obchodzili, a w nadziei

dobrego napiwku od pasażera bynajmniej koni nie oszczędzali. Jeżdżono więc w gub. Wołyńskiej w owym czasie pocztą po waryacku; bardzo często robiono od 15-tu do 18-tu wiorst na godzinę, i to nie prostą, lekką bryczką, zwaną «perekładna,» która się przemieniała na każdej stacyi, lecz własnymi, ciężkimi, warszawskimi lub petersburskimi powozami, ogromnemi, poczwórnemi landarami, w które nieraz w czasie błota wprzęgano po ośm, a nawet i po dziesięć koni pocztowych — to jest po cztery w poręcz, powożone z kózła przez starszego jamszczyka, a po dwie trójki na przód w lejc, z dwoma forysiami, lub czasem z jednym, który zgrabnie pałac z bata i siedząc na podsobnym koniu, kierował przednią lejcami trójką lub parą. W suchą nawet drogę nigdy mniej od sześciu koni pocztowych nie zaprzęgano, przy jednym jamszczyku, bez forysia, w lejc.

Ludzie ci, nadzwyczaj dzielni, śmiało i zgrabnie w najciemniejszą noc powozili, wymijając wyboje, rowy i przeprawiając się przez liche mosty i groble, promy na rzekach, przez które z pewnością żaden miejski stangret nie ośmieliłby się nawet w dzień przejechać. Z nich

też nieraz rekrutowali się nasi dawni furmani dworscy. Tych jamszczyków pocztowych, którzy nie byli ostatecznie nałogowymi pijakami, panowie godzili do siebie na służbę. Twarda to bowiem była owa szkoła pocztowa i kto ją przez lat kilka przebył, ten śmiało, gdy się tylko trochę szanował, mógł się dosłużyć dożywocia u dobrego pana. Najlepsi dawni furmani, których sam miałem u siebie, lub których sobie przypominam, byli dawniej, przez długie lata, jamszczykami na pocztach, słusznie więc ich do furmanów starego autoramentu zaliczyć należy.

Taki dawny furman dworski to zwykle siwy już wążacz,— nie mógł być bowiem młodym, gdyż powinien był zażywać pewnej powagi nad podwładną mu służbą stajenną. Musiał też być bardzo rozgarnięty, przytomny, mieć wielką siłę do powożenia ognistą szóstką w lejc bez forysia, mieć kocie oczy w ciemności, doskonałą pamięć dla zapamiętania wszystkich dróg, raz w życiu przejechanych; i miejsc niebezpiecznych, które mu później po nocy wypadnie przejechać. Posiadał też w wysokim stopniu znajomość swego rodzaju furmańskiej topografii, a szczególnie tru-

dny do określenia zmysł czyli instynkt furmański, połączone z wielką śmiałością i przytomnością umysłu, co jedynie mogło go ratować w niebezpiecznych wypadkach. Z furmanem, który się choćby chwilę zawahał w momencie że tak powiem psychologicznym, literalnie jeździć było niepodobna po ówczesnych drogach ówczesnymi ciężkimi i opakowanymi powozami. Miał pod swą komendą forysia, którego nieustannie musztrował. Ci więc stajenni chłopacy byli to ostatni męczennicy, lecz z nich z czasem, jeżeli bez szwanku dorosli męskiego wieku, wychodzili najdzielniejsi furmani. Prawdziwie zaś tęgi i doświadczony furman, jeżeli tylko potrafił dobrać sobie ostre i niepłochliwe konie, jeździł zawsze szóstką, a nawet siódmką, bez forysia, który mu się tylko niepotrzebnie płatał, w porę pod górę nie wyciągał, przeciwnie, na wybojach szarpał od sztelwagi, co się odbijało na siedzących w karecie i składało się na winę jego nieumiejętności lub nieuważności. Powożąc zaś sam, był panem swego zaprzęgu: ostrożnie wstrzymywał z góry, wyrabiając tylko końmi dyszłowymi, a pod górę, jak huknął i rozwinął bata, to najcięższa

opakowana kareta w jednej chwili, choćby po błocie lub piasku, znalazła się na miejscu.

W mej młodości jeszcze damy bardziej bojaźliwe nigdy nie podróżowały bez kozaka konnego, który jechał równo przed lejcowymi końmi, niejako je prowadząc, i obowiązany był je wstrzymać w razie wypadku lub spłoszenia. Przy dzielnym i doświadczonym starym furmanie kozak taki był rzeczywiście zbyt zbytecznym; uspokajał on tylko drażliwe nerwy samej pani, która spokojniej siedziała w karecie, gdy ów kozak razem z lokajem, zeska-kującym z kozła, podtrzymywali w niebezpieczniejszych miejscach ciężką landarę, przechylającą się na bok. Wtedy koń kozacki, podzwaniając wędzidłem, szedł spokojnie, stępo za swym jeźdźcem, «jak pies dobrze wyczony.» W nocy obowiązkiem kozaka było przyświecać na przód jasnym, smolnym kagańcem, bez czego jazda stawała się nieraz niemożliwą. Nie znano jeszcze wówczas dzi-siejszych pochodni naftowych, bo i sama nafta nie była jeszcze zupełnie w użyciu. Smolne zaś galki, kręcone z kłaków i szpagatu, jedną po drugiej wyjmował kozak z torby, przewieszanej przez ramię, i podrzucał do

kagańca. Świeciły one bardzo jasno, lecz stawały się powodem niejednego pożaru, jeżeli się nieostrożnie z nimi, przejeżdżając przez wsi, obchodzono.

Służba forysia i podobnego stajennego kozaka, jadącego przed kareta, była bardzo ciężka, bo to nie żart trząść się całodziennie przez kilkanaście mil na siodle, w miarowym, wyciągniętym klusie, zwłaszcza jeżeli podróż trwała kilka dni, co się bardzo często zdarzało. Dobierano więc pod forysiów najmocniejsze konie z całej furmanki, a pod kozaków konie bardzo wytrzymałe; moda przytem wymagała, aby były z różnemi znacznymi odmianami: białonogie, lyse, białozory, lub, co lepiej jeszcze: srokate, taranty, wilczate lub deresze. Daje to także miarę dzielności ówczesnych koni powozowych, wogóle odbywających długie, kilkodniowe podróże po najfatalniejszych drogach, wprężone do ciężkich, poczwórnych karet, zwanych tormen-sami i zastosowanych do wygod podróżujących państwa. Były to ogromne arki Noego, na niskich przednich kołach i wysoko zawieszane, huśtające się na pasiastych resorach, z podwójnym kozłem z przodu i ka-

bryoletem z tyłu dla przybocznej służby, opakowane kilkoma ogromnymi walizkami z poscielą, dwoma waszami na suknie, «szapelierami» na kapelusze i kilkoma skrzynkami w siedzeniu na prowianty i drobniejsze rzeczy. Patrząc dziś na pozostałe jeszcze gdzieś po dworskich wozowniach owe zażytki przeszłości, mimowolnie wyradza się wątpliwość o podobnego rodzaju lokomocyi i o wytrzymałości zaprzęgów, które taką machinę w przyśpieszony ruch wprowadzać musiały. A jednak sam jeszcze w mem dzieciństwie, a raczej w mej młodości, po ożenieniu, odbywałem często dalekie podróże do Lwowa, Krakowa i wogóle do Galicyi, do Warszawy i w różne strony Królestwa, do Odesy, Kijowa i do gub. Podolskiej, podobnymi arkami Noego — i wtedy się to wszystkim zupełnie naturalnem wydawało.

Za podobną landarą szedł zwykle jeden lub dwa czterokonne furgony resorowe z garderobą, rekwizytami podróżnymi i reszta służby dworskiej, oprócz tego zaś bryka kuchacza z podróżną kuchnią i kredensem, — gdyż wszystko wówczas należało z sobą wozić, tak, aby państwo, przyjechawszy na popas lub

nocleg, zastali gotowy obiad lub wieczorny posiłek, a szczególnie w traktowych lub małomiasteczkowych karczmach zajezdnych miejsce do wygodnego spoczynku. Izby zastawiali państwo należycie wymiecione, wykadzone bursztynem, zasłane dywanami, ze ścianami obiteymi różnemi podróżnemi makatami, i srebrną zastawą, rozłożoną na stole. Dzisiejsze tutejsze pseudo-hoteliki, z łózkami żelaznemi, nibyto sprężynowymi materacami i wyszczerbioną fajansową umywalnią, przedstawiają już w każdym razie pewien rodzaj nowoczesnego komfortu dla tych, którzy przyjechawszy z kolei, zmuszeni są w takiej powiatowej miejscinie na partykularzu przenocować. Lecz przed laty kilkudziesięciu nie mieliśmy nawet pretensyi do podobnego prymitywnego komfortu i sypialiśmy doskonale w podróży na własnych siennikach, wypchanych świeżem sianem i pokrytych skórą losiową, w tej samej żydowskiej karczmie, skąd przed godziną wyforowano całą rodzinę izraelską, po wykadzeniu jej bursztynem i przewietrzeniu trochę przez naszą służbę od zatechłego powietrza.

Gdy państwo wygodnie się posilali i spoczywali, starszy furman musiał dbać o wy-

godę wszystkich koni, mających nazajutrz daleką i uciążliwą drogę przed sobą; powinien był opatrzeć, czy żłoby są czyste, przekonać się o gatunku owsa, czy nie zatęchły i nie wilgotny, oraz siana i słomy na podściół; w parę godzin po przyjechaniu na miejsce, w ciemną noc, konie, po zupełnem wystygnięciu, napoić gdzieś w oddalonej studni, aby którego, broń Boże, nie ochwacić; pilnie zlustrować powozy i podkowy, czy niema co zepsutego; a gdy który koń wypadkiem zachoruje, umieć mu w porę krew puścić, lub spirytusem na grzbiecie wąsacza spalić. Na tem bowiem polegała cała weterynaryja ówczesna, która zwykle była zupełnie wystarczającą. Poczem wolno było furmanowi spocząć w stajni na gołej ziemi, obok koni, na mrozie i chłodzie, gdzie wiało niemiłosiernie i gdzie od zimna przykrywał się derkami stajennemi. Naturalnie, nie wolno mu było wyciągnąć się wygodnie w pańskim powozie, lub przespać się w izbie żydowskiej, bo rygor służbowy bywał w owych czasach nadzwyczaj surowy. Furman dostawał w drodze na własne wyżywienie po jednym złotym polskim strawnego, a było to już oznaką osobliwszej

łaski, jeśli jaśnie państwo w swej dobroci wysłali mu szklanę herbaty dla ogrzania się.

W takich mniej więcej warunkach odbywano najdalsze podróże, nawet do kąpieli morskich i do wód zagranicznych, do słynnego już i wówczas Karlsbadu, będącego od dawna w modzie między Polakami. Niedawno, przed kilkoma laty, sam właśnie miałem w Karlsbadzie pewne zdarzenie, zupełnie potwierdzające moje opowiadanie o dawnych wołyńskich furmanach ze starego autoramentu. Pewna znajoma nam dama mieszkała tam na «Neue Wiese,» w domu pod godłem «Zum Römischen Feldherr.» Pewnego dnia, gdyśmy w licznej polskiej towarzystwie projektowali dalszą wycieczkę powozami do jednej ze ślicznych miejscowości, otaczających to miejsce kuracyjne, udałem się do tej damy, aby ją uprzedzić, że wszyscy już na nią oczekujemy. Nie zastałem jej w domu, gdyż właśnie wyszła inną stroną, lecz oddałem swą kartę wizytową miejscowemu gospodarzowi, siedzącemu pod altaną. Był to staruszek przeszło 90-letni, z haftowaną czapeczką na tysej głowie, dość jeszcze czerstwy i ruchliwy, o sympatycznej twarzy, na której igrał

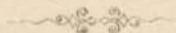
śliczny rumieniec. Postać ta zaciekała mnie i zrobiła na mnie pewne wrażenie; dowiedziałem się też wkrótce, że ów staruszek powierzył od dawna zarząd całego domu swej niemłodej już wnuczce i sam przy niej spokojnie dożywa wieku, całymi dniami wygrzewając się na słońcu w altanie. Gdy w kilka dni później przechodził tą ulicą, staruszek ów sam mnie zaczepił; wyraźnie zauważył nazwisko moje na karcie wizytowej. Oświadczył mi też z dobrodusznym uśmiechem, że doskonale sobie przypomina moją żonę, «Ihre Frau Gemahlin,» jak mówił, kiedyś, przed laty mieszkającą w jego domu; opowiadał, że była to śliczna młoda dama «mit grosser Begleitung,» to jest z liczną służbą, i że przyjeżdżała własnymi końmi, ogromną landarą «Vierspanning,» to jest czwórką i furgonem dla służby i, jako rys charakterystyczny swej pamięci, dodawał, że miała z sobą «Einem schrecklichen Hajduken,» który konno jechał przed kareta, wyraźnie więc wolińskiego dworskiego kozaka, wyżej tu opisanego. Wiedziałem doskonale, że moja żona nigdy jeszcze przed owym, o ile pomnę, 1887 rokiem w Karlsbadzie nie była, byłem więc przekonany, że

stary Niemiec wyraźnie bałamuci, biorąc jedno polskie nazwisko za drugie. Lecz on, dotknięty zarzuconym mu brakiem pamięci, podreptał do swej wnuczki, wziął od niej jakieś odwieczne księgi meldunkowe, i poszukiawszy w nich pilnie, zwrócił mi uwagę pod rokiem 1837-ym na własnoręczny podpis mej matki, pochodzący z owej epoki,— czem mnie ostatecznie przekonał. Przekonałem go również, że to nie mogła być moja żona, lecz moja matka, co też nareszcie staruszek rozumiał, ze względu na 50-letni okres czasu, dzielący te dwie daty.

Przypomniałem sobie również ze wspomnień rodzinnych, opowiadanych mi w dzieciństwie, które, jak przez sen, trochę pamiętałem, że ś. p. matka moja w tym czasie jeździła do Karlsbadu własnymi końmi, z liczną służbą, jak wówczas było w zwyczaju. Okazuje się również, że owym strasznym hajdukiem był stary stajenny kozak Miron, zmarły na mej służbie, a furmanem niemniej stary Makar, którego doskonale pamiętam powożącego z kozła karety podróźnej czwórką dużych, pięknych szpaków własnego chowu, za którą szedł rzeczywiście kryty furgon

z rzeczami i doskonale wytrzymałe konie, jeżeli dowoziły swą panią przez całą gubernię Wołyńską, Galicyę, Śląsk, Morawy i Czechy do Karlsbadu i nazad na Wiedeń tę samą długą drogę bez szwanku odbywały.

Ten zupełnie autentyczny epizod z przeszłości jest najlepszem stwierdzeniem tego, co tu pobieżnie opowiedziałem o dawnych naszych furmanach starego autoramentu.



DAWNY KUPIEC LEŚNY.

Rzut oka na handel leśny w gub. Wołyńskiej.

Kreśląc różne typy i obrazki gub. Wołyńskiej, niepodobna zamilczeć o typie kupca leśnego, przez którego ręce ogromne i, jak nam się zdawało wtedy, niewyczerpane bogactwa leśne gub. Wołyńskiej spłynęły przez porty pruskie za morze, ogalając kraj z jego pięknych lasów, poniekąd zmieniając jego klimat i bogacąc jedynie samych handlarzy, którzy miliony rubli na tem zarobili. Trzymali się oni przytem do tego stopnia solidarnie pomiędzy sobą, że te nizkie do śmieszności ceny, płacone przez nich za najpiękniejsze sztuki drzewa, wydawały się nam wtedy bardzo pożądanę. Naturalnie, że kupcy ci należeli do plemienia semickiego, gdyż żadna inna rasa nie jest zdolną do podobnego wyzysku, a szczególnie do podobnej

tajemnej solidarności w handlu, chyba, jak powiadają, że rasa grecka lub ormiańska, ale tych, chwała Bogu, w kraju dotąd nie posiadamy. Największe też milionowe, zupełnie poważne żydowskie fortuny w gub. Wołyńskiej powstały przeważnie z tego źródła; wszyscy oni w pierwszej połowie tego wieku zaczęli handlować lasami na wielką skalę; synom i wnukom przekazali tradycję tego handlu w pewnym ściśle oznaczonym promieniu, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać, ale niemniej wyciskali najżywotniejsze soki z wyrabianych początkowo na sztuki, a później ryczałtowo lasów, a tem samem z ich właścicieli, upewniając ich przy zawarciu każdego nowego kontraktu, że teraz właśnie kupują resztę pozostałych w lesie belek sosnowych i klepki dębowej. Reszta ta jednakże przeciągała się bardzo długo, to jest do kompletnego wyniszczenia lasu.

Aby należycie ocenić typ dawnego żydowskiego kupca leśnego, trzeba mieć choć pobieżne pojęcie o samym handlu leśnym tu w tej epoce. Gub. Wołyńska po r. 1794-m etnograficznie dzieliła się na dwie odrębne strefy, to jest właściwy Wołyń i Polesie. Główna

wna droga bita, łącząca dwie fortece—Kijów i Brześć, oddana na użytek publiczny w ostatnich latach panowania Cesarza Mikołaja I-go, o ile pomnę, w roku 1853 czy 1854, stanowi dotąd prawdziwą linię demarkacyjną tych dwóch, zupełnie od siebie odmiennych części kraju, rozdzielając nawet po połowie niektóre powiaty tej gubernii. I tak: części ich południowe są czysto wołyńskie, o doskonałej urodzajnej glebie czarnoziemno-gliniastej, lasach liściastych, przeważnie dębowych, a części północne mają wszystkie cechy nieurodzajnego Polesia: piaski, hromosze (rodzaj bardzo twardego, spojnego, krzemienistego gruntu), błota, halizny, a w niektórych miejscach doskonale łąki nad spławnymi rzekami, dążącemi ku północy. Lasy są, a raczej były tam przeważnie sosnowe, gdyż obecnie po większej części są już zniszczone. Cały więc powiat Owrucki i Kowelski, północne części powiatów: Włodzimierskiego, Luckiego, Rowieńskiego, Zwiąhelskiego i Żytomierskiego, położone po prawej stronie od drogi szosowej, w kierunku do Brześcia Litewskiego, były do niedawna jeszcze czystem Polesiem, sennem, zapadłem, oddzielonem od świata, co

J. I. Kraszewski tak obrazowo, tak poetycznie niemal opisywał w cyklu swych powieści ludowych: «Ulana,» «Budnik,» «Ostap Bondarczuk» i inne. Dziś już i tam warunki zmieniły się do niepoznania po stopniowem osuszaniu błot, prowadzonym z ramienia rządu przez generała Żylińskiego, i po przeprowadzeniu kolei żelaznych, naprzód w r. 1872 od Kowla do Brześcia i do granic Królestwa, a później już linii Rowieńsko-Wileńskiej; lecz wówczas, niedalej jak przed 30-tu laty, trudno sobie wyobrazić, jak tam komunikacye po błotnistych i piaszczystych drogach były utrudnione, a w niektórych porach roku przy rozlewie rzek zupełnie prawie niemożliwe. Od takiej n. p. Dąbrowicy, należącej do hr. Platery, jechało się do swego miasta powiatowego Równego trzy i cztery doby, i to jeszcze po nibyto dobrej drodze. Od miasteczka Kniaźhory lub Czartoryska, położonych nad samą granicą litewskiego powiatu Kobryńskiego, do Łucka — jeszcze dłużej. W czasie zaś rozlewów wiosennych niepodobna się było tam dostać inaczej, jak płaskodenną łodzią, zwaną na Polesiu «szuhaleją.» Kraj ten był tak zapadły, że były miejsca,

gdzie nigdy włościanie nie widzieli żołnierza rosyjskiego z jego komendą, a urzędnicy policyi ziemskiej dostawali się raz w przeciagu kilku lat do pewnych wiosek nie inaczej, jak łodziami, owemi szuhalejami, na przodzie których stał setnik (niższy organ policyi), dzwoniąc w pocztowy dzwonek, dla uprzedzenia ludzi, że płynie do nich organ władzy administracyjnej. Im bliżej do Pińska, owo tajemnicze Polesie stawało się jeszcze dzikszem, jeszcze bardziej niedostępnem, wraz ze swym okrytym kołtunami ludem, odzianym w samodział, w zgrzebne koszule i chodaki z kory lipowej, zwane tam powszechnie «postolami.» Rozpowiadano nieraz, że tamtejszy chłop, zapytany: «Skąd jesteś, człowieku?» odpowiadał ponuro: «ja żaden człowiek, ja Poleszuk.»

Dużoby można napisać o charakterystyce owego Poleszuka, stanowiącego dotąd typ zupełnie odrębny. Mając jednak na myśli typ dawnego kupca leśnego, który tak czynnie się przyłożył do wyniszczenia pięknych wołyńskich lasów, należy powiedzieć, że oprócz właściwego głębokiego Polesia, posiada gub. Wołyńska jeszcze szerokie pasmo podobnych

lasów, wprawdzie już dziś znacznie wyrobionych, zwane «Cwetem,» ciągnące się od samej granicy austriackiej pod m. Radziwiłowem, gdzie się łączą z obszernymi lasami brodzkimi i łopatyńskimi w Galicyi, należącymi do hr. Kazimierza Młodeckiego. Stąd ów Cwet, od wieków tak nazwany przez ludność miejscową, choć etymologii tego słowa trudno się doszukać, stanowi już jedno pasmo lasów sosnowych, ciągnące się przez kilkaset wiorst obok wsi Krupca, miasteczka Werby, w prawo do miasta Dubna, obok wsi Szepetyna, Obhowa, Hurb, Buszczy, Nowomalina. Pod miastem Ostrogiem przechodzi ten Cwet w lasy krzywińskie, dalej w sławuckie i szepetowieckie, które jedne tylko są porządnie utrzymane i eksploatowane, sudyłkowskie, połońskie, miropolskie i cudnowskie. Obok Żytomierza Cwet traci już swą charakterystyczną odrębną nazwę i łączy się z byłymi lasami trojanowskimi i korystyszowskimi, stanowiącymi już Kijowskie czyli Radomyślskie Polesie.

Pewny jestem, że wielu zarzucać mi będzie, iż nic niema zajmującego w takim prawie topograficznem opisanu lasów wołyńskich.

W obawie znudzenia czytelników, nie podaję suchych cyfr statystycznych, lecz opisując poniekąd przeszłość gub. Wołyńskiej, trudno nie powiedzieć, że lasy tutejsze stanowiły do niedawna jeszcze, jak się nam zdawało, niewyczerpane bogactwo tej prowincyi. Pomiedzy ludem tutejszym slyszeliśmy nieraz powtarzaną gadkę — a powiadają, że gadki owe, czyli przysłowia ludowe, są mądrością narodów, — lud więc tutejszy mawiał od wieków: «Nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las!» My wprawdzie jeszcze jesteśmy, ale lasów już prawie niema. Myśmy niezaradnie je marnowali, nieogłędnie, za bezcen sprzedawali, nareszcie lasy do szczytu wyprzedali, a owi żydowscy handlarze, a raczej rabusie leśni, spławiali je przez Gdańsk i Królewiec na Bałtyk i dalej do Anglii, nadzwyczaj się zbożniejsi zupełnie nielegalnie i nieprawnie, gdyż ich leśne obliczenia rozmiarów drzewa, owa osławiona, technicznie zwana redukcya, którą nieodmiennie umieszczali jako główny warunek w kontraktach, zaprawdę że przewyższała najskrajniejszą lichwę, srogo dziś przez sądy karaną.

Wiele okoliczności składało się na to, że właściciele lasów, choć czuli wysoce wyzyskujący sposób obliczania przez kupców owej wyżej wspomnianej redukcji leśnej, musieli się na nią zgadzać, bo literalnie nie było w całym kraju innego zbytu na te bogactwa leśne. Las jednak stanowił, niestety! w wielu razach jedyną deskę ratunku dla dziedzica. Gotów go był sprzedać jeszcze taniej, byle się uwolnić od różnych, bardzo wysokich opłat, które zaciężyły na większej własności ziemskiej po uwłaszczeniu włościan. Ratował się szlachcic lasem, kto go miał,—a że cała gub. Wołyńska, oprócz jej południowych powiatów, posiadała obszerne lasy, to i ratunek znajdował się pod ręką na miejscu, co właściwie stało się główną przyczyną wyniszczenia lasów wołyńskich. Nawet w powiatach Staro-Konstantynowskim i południowej części powiatu Krzemienieckiego, uważanych jako bezleśne, znalazła się zawsze u wioskowego szlachcica jaka piękna dąbrowa z kilkusetletnimi dębami, jaka zwarta cienista brzezina, jaki uroczy jaworowy lub jesionowy gaik, które w danej chwili stały się istną deską ratunku.

Niedość jednak mieć chęć do sprzedaży, ale dla dokonania jej trzeba koniecznie mieć chętnego nabywcę. Tu więc dopiero żyd kupiec leśny stawał się tak pożądanym. Miejscowy żyd arendarz brał na siebie obowiązek dostarczenia, niemal dostania go z pod ziemi dla swego jasnego pana; przyczem on sam pięknie na tem zarabiał od obu stron. Kraj, jak mówiłem wyżej, nie posiadał żadnych komunikacji. Materyały leśne splawiane były za granicę tylko wodą — po rzekach: Ikwie, Styrze, Horyniu, Śluczy, Teterewie, częścią w zachodnich powiatach po Turyi, a we wschodnich, szczególnie w Owruckiem, po Uszy, skąd systemem kanałów litewskich przedostawały się do Królewca lub Gdańska. To już zależnem było jedynie od woli kupca, bo on kupował zwykle materyały sztukami w lesie na pniu, swym kosztem je wyrabiał i transportował zimą po sannej drodze, do licznych portów rzecznych, rozrzuconych po całym Wołyniu, zwanych przystaniami, gdzie miał t. zw. «bindugę», to jest czasowy skład leśny, i magazyny na klepkę dębową i pszenicę, którą po dworach kupował i na tych belkach sosnowych razem z klepką ładował. Handel

leśny w południowych powiatach gub. Wołyńskiej był zupełnie odmienny. Tam wyrabiano tylko materyały t. zw. stepowe, innych rozmiarów, przeznaczone dla gub. Kijowskiej, od wieków bezleśnej. Na osiach więc dostawiano do Berdyczowa: kręgi kół, tak zw. tu gięte obwody, osie, szprychy, płozy do sani, dyszle, łuby lipowe, łyżki, niecki, drobną klepkę osikową, wyrobione z niej gotowe beczulki, dzieżki, także gonty, dziegieć brzozowy i t. p.; lecz to się już nie zaliczało do wielkiego handlu leśnego. Zajmowali się nim zupełnie inni stepowi kupcy, a każdy z wielkich wołyńskich kupców leśnych, handlujących z zagranicą, uważałby za poniżenie swej firmy dotykać się handlu stepowego. Dość oni mieli do czynienia na właściwym Wołyniu, tak w jego części poleskiej, jak i w owym wyżej wspomnianym Cwecie, gdzie podostatkim było najpiękniejszych okazów niebotycznych sosen i najpiękniejszych, zdrowych, kilkusetletnich dębów, zadziwiających rozmiarów. Te tylko bowiem dwa gatunki drzewa szły za granicę. Sośninę wyrabiano na belki, mające w cienkim końcu po 12 cali gdańskich w kant, i obliczano na kopy, nie wiem

dłaczego po 360 sążni każda. Sążeń zaś trzymał trzy łokcie berlińskie, większe o kilka cali od zwyczajnego łokcia polskiego. Belka taka im była dłuższa, tem naturalnie była cenniejsza, lecz musiała mierzyć nieodzownie 12 cali kantu, odciosanego toporem, bez najmniejszej skazy lub znaku kory, co się technicznie nazywało «obzelem.» Nie przyjmowano krótszych sztuk od półtoranów, mających trzy sążnie berlińskie, czyli dziewięć łokci—i w tem tkwiła najważniejsza zmyłka, że trzy sążnie przyjmowano za półtora; następnie dwojany, trojany, czwartaki, piątaki, szóstaki i t. d., do dziesiątaków, dwunastaków i wyżej, dodając po trzy łokcie berlińskie do każdej sztuki. Jakiejże to było potrzeba sosny dla wyrobienia choćby takiego dziesiątaka, mającego przy wymaganej grubości 36 łokci berlińskich!—z pewnością, że takie drzewo sięgało niemal jagiellońskich czasów. Nigdy zrozumieć nie mogłem, dlaczego każdy kupiec leśny najściślej warował sobie bezpłatnie w kontrakcie po sześć łokci berlińskich na każdej sosnowej belce, kiedy, według najściślejzego obliczenia, taki n. p. dziesiątak powinien mierzyć nie 36, lecz 30 łokci,

to jest nie 12, lecz 10 sążni berlińskich. Ten jeden drobny warunek równał się najskrajniejszej lichwie, bo za granicą, w portach pruskich, tutejszy żyd kupiec leśny najściślej co do cała grubości i długości obliczał się z handlarzami niemieckimi lub angielskimi, na zasadzie t. zw. «Cubick-inhalt.» Ze sprzedażą dębiny jeszcze gorzej się działo; najprzedniejsze sztuki wyrabiano na planksony, lecz mało dębów do tego się nadawało, gdyż przy znacznej długości drzewo powinno było się kłuć zupełnie równym słojem; następnie na «wańczosy,» a dopiero później na przeróżne gatunki klepki, począwszy od «okseftówki» i «pipówki,» a kończąc na najdrobniejszej, t. zw. sieczce. I dębinę obliczano na kopy, wedle redukcji, ale tu już rachunek był tak zawily, tak wyraźnie był skierowany na korzyść kupca, że najpiękniejsze dęby dostawały mu się prawie za bezcen, tem bardziej, że z takiego olbrzyma brano tylko środek, dający się równo kłuć słojami; resztę zaś fabrykanci, używani przez kupca do wyrobu, porzucali w lesie, co sobie najspokojniej gnilo i marnie przepadało. Płacono zwykle za taką kopę belek sosnowych od 360

do 400 rubli, a za kopę klepki dębowej od 10 do 12 rubli. W wyjątkowych tylko razach, w lasach prawie dziewiczych, zupełnie nietkniętych siekierą na wyrób zagraniczny, ceny te się podnosiły od 500 do 600 rubli za sośninę, a od 15 do 20 rubli za kopę klepki dębowej — naturalnie zawsze wedle owej osławionej redukcji. Gdyby szczerze obliczyć cenę pojedynczego kolosalnego dębu lub sosny, toby z pewnością sztuka nie wypadła drożej niż po 80 kopiejek, najwyżej po rublu, a co się przy tem działo nadużyć przy tak zwanej «odbiórcie,» to jest przy przyjmowaniu w lesie przez brakarza kupieckiego gotowych materyałów od fabrykantów, co się powinno było odbywać w przytomności miejscowego leśniczego i co służyło do obrachunku z dziedzicem — to Bogu jednemu wiadomo. Sprytny bowiem kupiec potrafił sobie naprzód zaskarbić względy leśniczego, a brakarz umiał jeszcze sprytniej oszukać tegoż leśniczego i biednych fabrykantów, pracujących w pocie czoła przez rok cały, za nędzną bardzo zapłatę. Ludzie ci należeli zwykle do biednej zagonowej szlachty, do tak zwanych Mazurów, od wieków osiadłych na Polesiu.

Znakomicie władali oni ogromnymi, szerokimi toporami, daleko większymi od zwyczajnych siekier, i doskonale się znali na rozmiarach materiałów leśnych, wymaganych do handlu zagranicznego, szczególnie na klepce dębowej, gdzie szerokość i grubość bardzo ściśle się obliczała na cale z prawdziwie matematyczną dokładnością. Na tem więc najbardziej krzywdził tych biedaków ów wszechwładny brakarz, któremu żyd kupiec zupełnie dowierzał.

W dawnym handlu leśnym gub. Wołyńskiej odgrywał taki brakarz bardzo poważną rolę; być może, że on bardziej jeszcze od samego kupca wpłynął na stopniowe i metodyczne wyniszczenie tutejszych leśnych bogactw, bo znał się na tem znakomicie i, jako miejscowy gospodarz, przy wyrobie oszukiwał zarówno tak dziedzica i leśniczego, jak i fabrykantów. Był to zwykle mądry i przebiegły żyd, który od młodości praktykował przy zagranicznym handlu leśnym i nabył w tem wielkiego doświadczenia, bo zwykle splewał swemu kupcowi do Prus partye sośniny, naładowanej klepką i pszenicą, i sam spieniężał to wszystko zagranicznym handla-

rzom. Znał też wszystkie tajemne arkana tego handlu, które dla nas, właściciele lasów, zupełnie były nieznane. Zwykle przed rozpoczęciem traktowania z dziedzicem o kupno pewnej partyi belek i klepek dawało się brakarzowi pozwolenie do obejrzenia lasu; znał się na tem tak dokładnie, że rzadko kiedy się pomylił w szacunku i naprzód ściśle oznaczył, jaką ilość materiału kupić można bez zbytniego podniesienia ceny wyrobu; wielki bowiem kładł nacisk na las «zwarty,» gdzie każda sosna była koronną belką, lub na las t. zw. «postępny,» gdzie fabrykanci zmuszeni byli szukać sosen belkowych, co było pretekstem dla żydów do znacznego deprecjowania całego lasu, a tem samem do obniżania ceny. Wtedy dopiero przyjeżdżał kupiec do dziedzica, poważnie zasiadał z nim do powolnego i ostrożnego traktowania interesu, stopniowo podnosząc cenę, bez przekroczenia jednak wysokości raz już sobie zakreślonej, co przeważnie zależało od potrzeby pieniężnej, w której wtenczas szlachcic się znajdował. O tem znowu przedwcześnie był poinformowany przez miejscowego arendarza, lub innego przybocznego żyda skarbowego,

mającego tajny, lecz poważny wpływ na szlachcica. Podobne usługi suto się przez kupca wynagradzały pod postacią komisowego, lecz koniecznymi mu były dla zorientowania się w ustanowieniu ostatecznej ceny. Długo jeszcze dyskutowano o terminach i rozmiarach wypłaty, a dla ogadania innych, pobocznych, niabyto podrzędnych warunków, mających jednak wielkie znaczenie dla kupca, naturalnie ze szkodą dziedzica, jak n. p. udzielanie bezpłatnie «oganiaczy,» to jest grubych kłód sosnowych przy tratwach na spławie materiału do ich wiązania, drzewa na zbudowanie szalásów w lesie dla fabrykantów w czasie zimy, podpisanie przez dziedzica świadectw spławnych na swe imię, co oszczędzało kupcowi wykup z kasy rządowej dość drogich patentów handlowych, i t. p.; przywoływano nareszcie pokornie wyczekującego w przedpoкою brakarza. Ten zaś bynajmniej czasu tam nie tracił, gdyż tymczasem kaptował dla siebie pana leśniczego. Sama kwestya t. zw. oganiaczy, dawanych zwykle bezpłatnie, bynajmniej nie była podrzędną. Potrzebowano ich przy spławie po dwie sztuki do każdej tratwy, i to ogromnych sosen, ledwo z kory

ociosanych. W każdym pasie spławnym wiązano po 25 do 30-tu tratew. Jeżeli wyrób z lasu stanowił choćby tylko kilka pasów, to łatwo obliczyć, podwoiwszy liczbę tratew, ile to ogromnych sosen dziedzic dawał bezpłatnie, a które kupiec z pewnością sprzedawał w Prusiech za piękne, brzęczące talary.

Naturalnie, że kupiec wspólnie z brakarzem dawali cenę jak najniższą i że targowali się zawzięcie, starając się wartość lasu obniżyć i zdyskredytować, będąc przytem zupełnie bezpieczni, że żaden inny kupiec leśny nie zrobi im konkurencji, na mocy owego tajemnego «chazukes,» o którym już mówiłem poprzednio. Pod koniec udawali, że zupełnie już odjeżdżają i że ostatecznie chcą zaniechać kupna.

Szlachcic, przyciśnięty potrzebą, patrzył na to z trwogą. Nareszcie późno wieczorem, a często już w nocy, występowali obydwaj z propozycją dania samej jasnej pani jakiegoś niabyto kontraktowego pod postacią kilku lub kilkunastu głów cukru, aby, wedle ich wyrażenia, interes był słodkim, a w wyjątkowych razach decydowali się ofiarować jasnej pani w prezencie kilkanaście lub nawet kil-

kadziesiąt sztuk złotych pólimperyalów, zwanych pecami; i tak wymęczywszy i zdenerwowszy do ostateczności biednego szlachcica, dobijali targu, o czym z góry byli przekonani, dokładnie wiedząc o jego rzeczywistej pozycji finansowej. Przyznać jednak należy, że przy zawarciu największej transakcji żaden ówczesny kupiec leśny nie ośmieliłby się żądać wydania mu kontraktu notaryalnego. Krótka, prosta umowa, spisana po polsku i skopiowana dla pamięci w księdze kontraktowej, służyła dla stron obydwóch i, o ile pomnę, nie dawała nigdy powodu do żadnych zajęć spornych. Wzajemna zobopólna wiara, a po części nie tak surowo wymagane wówczas przepisy o papierze stemplowym, dziś tak drobniawo przestrzegane przez inspektorów podatkowych, działających z ramienia ministerium skarbu, wiele się do tego przyczyniały. Niemniej jest to także pewne *signum temporis* owego niedawnego starego autoramentu, o którym w każdym razie tu wspomnieć należy.

A jednak właściciele lasów, mimo niskich cen, posuniętych do śmieszności, i mimo wyraźnego, najstraszniejszego wyzyskiwa-

nia, z niecierpliwością oczekiwali przyjazdu takiego kupca leśnego, gdyż przyciśnięci potrzebą, z powodu życia nad stan, a później różnych rządowych egzekucyi, w jednym lesie szukali skutecznego ratunku finansowego. Innego zaś zbytu na lasy, oprócz wyżej opisanego handlu zagranicznego, literalnie w całym kraju nie było prawie do końca szóstego dziesiątka bieżącego stulecia. Drzew opałowych nikt nie kupował; na gonty sosnowe, a tem bardziej osikowe, równie jak i na drobniejszy materiał budulcowy, nawet na tarcice, wyrabiane ręcznymi pilami, nie było tu, w środkowym Wołyniu, żadnego zbytu; jednem słowem kupowano tylko klepkę dębową różnych rozmiarów, wymaganych w portach pruskich, i sosnowe belki 12-to calowe, to jest «koronne,» a rzadko kiedy tak zwane «murlaty» 10-io calowe, bardzo już przez żydów deprecjonowane; lecz i przy tej sprzedazy zupełnie się zależało od woli kupca leśnego, — bo jak on nie kupi, to żaden inny do szlachcica nie zajrzy, w imię tej dziwnej solidarności, cechującej tę rasę.

Takie targi o ceny i o warunki nadzwyczaj były męczące i denerwujące, lecz zwykle

kończyły się tryumfem kupca, który licząc na potęgę kapitału, rzeczywiste potrzeby szlachcica, a trochę na bardzo łatwe do wytłómaczenia zniecierpliwienie sprzedającego, zawsze na swoim postawił.

Dotąd stoją mi przed oczami bogaci kupcy leśni, dwaj bracia M. z Dubna, Szmul i Mordka Hersz, handlujący od wielu lat pod jedną firmą, odziedziczoną przez nich po ich starym ojcu Cudyku. Słyszeli oni z wielkiej *quasi* uczciwości kupieckiej, tak, że w świecie handlowym ich słowo warte było najlepszego podpisu. Obydwaj niskiego wzrostu, ubrani ze staroświecka, z ogromnemi brodami, podpasani jedwabnymi pasami, z jarmułkami na głowie, mówili cicho, powoli, nigdy się nie unosząc, i przyjeżdżali zawsze razem do traktowania o kupno lasu, dając co roku niższe ceny, pod pretekstem, że lasy już wyrobione i że fabrykanci drożej za wyrób żądają. Z początku proponowali ceny bardzo niskie, podnosząc je powoli i zasłaniając się jakimiś zatuszczonemi cedułkami, nibyto kurscetłami giełdy gdańskiej lub królewieckiej, których myśmy zupełnie nie rozumieli, a które zapewne co innego znaczyły. Tym-

czasem ci dwaj żydzi, którzy mi zawsze przypominali postacie dwóch starych gnomów, targowali się powoli, zawzięcie, wymawiając dla siebie coraz nowe bezpłatne warunki. Obok nich jak fryga skakał i rzucał się brakarz, znany na Wołyniu Lujzio, który energicznie bronił interesów swych pryncypałów; na tem rzemiośle dorobił się znacznej fortuny, bo słyszałem, że później sam na swą rękę na Polesiu lasami handlował. Kontrast tych dwóch typów był nadzwyczaj rażący: obok tych dwóch flegmatycznych gnomów, zaufanych w potęgę posiadanych przez siebie kapitałów i zupełnego braku dla nich konkurencji, ów czarny, ruchliwy i nadzwyczaj mądry żydek, z pewnością oszukujący swych pryncypałów, tak jak oszukiwał właścicieli lasów, leśniczych i biednych fabrykantów.

Postacie te z czasów mej młodości głęboko i nieprzyjemnie wraziły się w moją pamięć, bo bez wątpienia przez ich ręce zupełnie nieprawnie przeszły wielkie bogactwa z wielu lasów wołyńskich, których wartość zaledwie w nieznacznej części wpłynęła do kieszeni ich prawych właścicieli.

Gdy tylko pierwsza sieć kolei żelaznych, nazwana początkowo linią Kijowsko-Brzeską, przecięła w 1873 roku całą gub. Wołyńską, wnet handel leśny przyjął zupełnie inną postać. Już do budowy kolei potrzeba było podkładów sosnowych, do czego można było użyć daleko cieńszych sosen, takich, o któreby dawniej nikt nie zapytał. Płacono za te sosny do wyrobu podkładów niezmiernie tanio, o ile pomnę, po 50 do 60 kopiejek za parę podkładów. Następnie już koleją odstawiano mnóstwo desek czyli tarcic do gub. Kijowskiej i do bezleśnych powiatów gub. Podolskiej. Można więc było zbyć sosny tak zwane trackie, mające po 2½ łokcia w obwodzie u pnia, po rb. 1 kop. 50 do rb. 1 kop. 60 za sztukę; cena ich jednak w lat kilka ustaliła się po rb. 2 na miejscu w lesie; wyciosano je ręcznymi pilami, lecz nie był to już ów wielki handel zagraniczny, potrzebujący znacznych kapitałów; lada żydek, prawie łapserdak, posiadający zaledwie kilkaset rubli, mógł tu korzystnie operować; przyczem kontraktował sosny na wyrób gontów, których w handlu mnóstwo zaczęto potrzebować. Było to więc już ze wszech miar rabunkowe

eksploatowanie lasów. Fabrykanci-gonciarze chodzili po całym lesie, próbowali setki sosen, dających się łatwo kłuć na gonty, zanim jedną dobrą wybrali, drzewa zaś pokalczone i pozostające na pniu dostawały narosli i nigdy już później nie były zdadne na wyrób belek i tarcic. Przez lat kilkanaście niszczyli żydzi tym sposobem nasze piękne lasy wołyńskie; nareszcie, zachęceni ogromnymi zarobkami, wprowadzili inną modę eksploatacyi, jeszcze bardziej niszcząca, lecz dla nich nadzwyczaj korzystną. Nie chcieli już inaczej kupować, jak z warunkiem ogólnego, bezkontrolowego wyrębu całego lasu, lub, jeżeli lasy były znaczniejsze, pewnej jego przetrzeni, geometrycznie odmierzonej, oznaczając cenę od morga, albo, co łatwiej jeszcze było, od całego obszaru, wprost niewymierzonego. Żydzi tłómaczyli się tem, że lasy już wyrobione, a zatem kupować na sztuki im niepodobna. Zresztą stawiali ten warunek *sine qua non*, na który, kto z nimi miał do czynienia, zgodzić się musiał. Ze wstydem przyznać się należy, że wówczas jeszcze większość naszych właścicieli nie posiadała planów leśnych. Znali tylko od oka, a raczej ich straż leśna

znała, granice swych posiadłości i tak też opłacali z nich podatki państwowe, według szematów izby skarbowej, sporządzonych w przybliżeniu na początku tego wieku.

To już zadało ostateczny cios tutejszym lasom, bo żyd wymawiał sobie w kontrakcie prawo w przeciągu oznaczonej liczby lat (od 24 do 36-ju lat) wycinać wszystko bez najmniejszego ograniczenia i kontroli, pozostawiając tylko gołą ziemię. Przezorniejsi właściciele wymawiali sobie warunek pozostawiania dla zadrzewienia pewnej liczby nasienników na morgu, ale pożał się Boże, jak ów warunek był spełniany, choćby nawet rozmiar nasienników ściśle był oznaczony. Żydzi rąbali więc wszystko w pień, do najmniejszej sztuki; wyrabiali przeróżne budulcowe materiały, których ogromne składy powstały w lasach, sprzedanych na wyrąb.

Nie oszczędzano najcieńszego drzewa, wyrabiając nie tylko gonty i dranice sosnowe, lecz nawet żerdzie i tyczki do chmielu, którego kultura, dzięki kolonizacji czeskiej, zaczęła się od 1870 roku w gub. Wołyńskiej rozszerzać. Nie przepuszczano nawet młodych dębczaków, z których obdzierano korę

do miejscowych garbarń. Zamożniejsi kupcy, ci istni rabusie leśni, zaprowadzili tartaki parowe, które później, po zupełnem wycięciu lasu, przeprowadzali do innego, nowonabytego na podobnych warunkach. Budowali również smolarnie z suchą destylacją drzewa, dla wyrobu terpentyny i smoły. Pnie, choć trochę przegniłe, po świeżo ściętych sosnach dostarczały mnóstwa materiału do podobnego przedsiębiorstwa, znakomicie w początkach się opłacającego, póki w kraju się nie rozpowszechniły smary mineralne. Z pewnością ze świeżych pni sosnowych nie otrzymywano tyle smoły i innych produktów, jak ze starych, należycie przegniłych. Lecz głównem zadaniem żyda było ze wszystkiego, co się nadarza, otrzymać jakąkolwiek, choćby niską korzyść, a szczególnie się śpieszyć, aby nic a nic na gruncie nie pozostawić. Dlatego też z sękatych kłoców, do niczego już niezdatnych, wypalano sposobem zupełnie prymitywnym węgiel drzewny w prostych piecach, obłożonych darnią. Węgiel taki, przeważnie grabowy, miał dobry odbyt do Odesy, grubsze zaś sosny wyrabiali jeszcze żydzi dla handlu zagranicznego, lecz i tam,

w portach pruskich, nie wymagano już wówczas takich olbrzymów, jak owe nasze dawne belki koronne. Wszelkie materiały drzewne nagle podskoczyły bardzo w cenie. Ze spuszczonego dębu, wyrabianego na klepkę lub na wańcosy, nic już marnie w lesie nie przepadało, bo nawet i grubsze gałęzie rozpiłowywano na tartakach dla wyrobu posadzek. Wielką ich liczbę wywożono przez Marsylię do Francji. Jednym słowem przemysłny kupiec żydowski, który nabył las niżej niż za bezcen, bo po jakie 8 do 10 rubli za mógł całej przestrzeni (a w wielu razach jeszcze taniej), odliczając przytem z tego, bardzo często, przestrzenie niegęsto zadrzewione, na których mimo to wolno mu było rąbać, robił zawsze przy podobnem kupnie znakomitą, złotą afere, a właściciel lasu, dzięki swej nieogłędności, opłacać musiał podatki i ciężary państwowe za zniszczone przestrzenie, których nawet, choćby chciał myśleć o przyszłości, zadrzewiać nie mógł, bo żyd miał prawo do ostatniego dnia expiracyi kontraktu buszować, jak niszcząca burza, po całym lesie.

I znowu wyradza się pytanie: dlaczego właściciele lasów decydowali się zawierać z żydami tak niekorzystne, po prostu zgubne dla nich kontrakty? Pozostaje na to zawsze jedna i ta sama odpowiedź: smutny stan ekonomiczny i finansowy kraju, w którym tylko kilku bogatszych, łatwych do wyliczenia na palcach właścicieli wolnych było od długów i ciężkich pożyczek bankowych. Ci też lasy w całości zachowali i dziś posiadają w nich ogromne bogactwa przy ogólnem podniesieniu się cen. Wprawdzie samo drzewo opałowe, dzięki kolejom żelaznym i zaprowadzonym temu przeszło lat dwadzieścia cukrowniom, stało się także przedmiotem zbytu. Dawniej za bezcen nie można było go spieniężyć, chyba w blizkiem sąsiedztwie od miasta, a i wtedy płacono za nie nie drożej, jak po 5, najwięcej po 10 kopiejek za furę. Ku usprawiedliwieniu jednak leśnych posiadaczy, powiedzieć trzeba, że w owej epoce nikt z nich nie potrafił zawrzeć korzystnego kontraktu o sprzedaż dREW opałowych z zarządem kolejowym, gdyż za sążeń drobno rozpiłowany na cztery polana, z dostawą do stacyi kole-

jowej, płacono tak niskie ceny, że literalnie nie pokrywały one kosztów wyrobu i dalekiego w wielu razach transportu. Jedni tylko żydzi utrzymywali się na licytacyach kolejowych w Kijowie, bo umieli sobie poradzić z różnemi trudnościami i wymaganiami przy odbiorze, za co też suto musieli się opłacać. Oni więc jedni, wyzyskując, jak zwykle, właścicieli, korzystnie prowadzili ten handel leśny z zarządem kolejowym, na czem początkowo wielu właścicieli dużo potraciło.

Okolo wyżej wspomnianych składów leśnych powstawały w pewnych porach roku, wolnych od zajęć polnych, istne jarmarki. Tysiące fur włościańskich przyjeżdżało z gub. Podolskiej lub z południowych, bezleśnych powiatów gub. Wołyńskiej, dla nabrania gotowych materiałów dla siebie, dla dworów, lub dla tamtejszych kupców leśnych, kupczących t. zw. stepowym towarem. Przemysłny wiernik, lub delikatniej nazwany «kasyer kupiecki,» lecz w każdym razie już nie brakarz — bo ponieważ cały las należał do jego kupca, literalnie nie miał co brakować, — zaprowa-

dzał przy podobnych targowiskach potajemną sprzedaż wódki. W szynku takim, naturalnie sekretnym i bezpatentowym, rozchodziło się więcej wódki w jednym dniu, niż w najdonośniejszej, opłacającej jednak drogi patent karczmie pańskiej przez cały miesiąc. I tym więc sposobem robił żyd niesłychaną szkodę, t. zw. technicznie «podryw,» propinacyjnemu prawu samego dziedzica. Wszelkie zaś środki represyjne i skargi pozostawały bez skutku, gdyż żyd postępował tu bardzo ostrożnie, był w doskonałych stosunkach z miejscowemi władzami, a jeżeli kiedy dochodziło do publicznego śledztwa sądowego, to stawiał nibyto wiarogodnych świadków, zeznających pod przysięgą, że żaden żyd wódki chłopom za gotówkę nie sprzedawał, lecz częstował ich tylko w swem prywatnem mieszkaniu dwoma lub trzema kieliszkami, w rodzaju bezpłatnej grzeczności za poniesione przez chłopów trudy przy ładowaniu ciężkich materiałów. Szlachcic więc najczęściej w sądzie sprawę przegrywał i w dodatku opłacał jeszcze nawiązki sądowe, na koszt procesu. Tracił więc ochotę do bronienia drugi

raz przed trybunałem swych dziedzicznych praw propinacyjnych, a żyd dalej grubo zarabiał na tym nieprawnym procederze.

Nastąpiło nareszcie ogłoszenie Najwyżej zatwierdzonego prawa o ochronie lasów prywatnych w tutejszych guberniach. Wczytując się w nie, zdawało się właścicielom, że teraz nareszcie potrafią skutecznie obronić się od zbyt rabunkowej eksploatacji żydów, handlarzy leśnych. Niezawodnie, gdyby to prawo było wprowadzone przynajmniej przed trzydziestoma laty, to większość lasów wolińskich nie takby smutnie jak dziś wyglądała. Lecz ogłoszone pod koniec ósmego dziesiątka bieżącego stulecia, było ono lekarstwem po niewczasie, bo miało na widoku ochronę tego, co już rzeczywiście nie istniało. Wprawdzie każdy dawniej zawarty kontrakt powinien był być przedstawiony do tak zw. gubernialnego leśnego komitetu na zatwierdzenie i dla zaprowadzenia jakiego takiego gospodarstwa leśnego, podług planu samego właściciela. Sami kupcy leśni, zatrużeni o swe prawa, brali na siebie obowiązek wyrabiania własnym kosztem tych za-

twierzeń i ze znanym sobie sprytem wywiązali się na swą korzyść z tego zadania, gdyż uzyskali sankcyę tych kontraktów, tak niekorzystnych dla właścicieli, z małemi bardzo ograniczeniami, które, zaręczam, że zawsze potrafią zgrabnie obejść.



POBEREŻNIK
(GAJOWY).

Pobereźnikami zwali tu od najdawniejszych czasów ludzi, należących do straży leśnej. Przy trwającym do 1861 roku stosunku zupełnej zależności włościan od dworu, posady te były niemal że przymusowe i przechodziły z ojca na syna, prawie z dziada na wnuka, a pobereźnicy całymi pokoleniami nadzwyczaj chętnie spełniali swe obowiązki, nie będąc rzeczywiście zdolni do żadnej innej pracy.

Tym więc sposobem mimowolnie wyrobiła się z nich osobna klasa ludzi, uważających siebie za coś wyższego od prostego wiejskiego gminu, znających doskonale lasy powierzone ich straży, a szczególnie dzielnych myśliwych, przeważnie tam, gdzie sam dziedzic oddawał się z zamięłowaniem tej szla-

chetnej rozrywce, będącej niemal wrodzoną dla każdego ziemianina.

Mówiłem już poprzednio, że przed emancypacją włościan tutejszych, każdy gospodarz, posiadający grunt, czyli nadział ziemi, stanowiący wedle praw krajowych niezaprzeczoną własność dziedzica, obowiązany był za jej używalność odrabiać tygodniowo do dworu pewną liczbę dni męskich sprzężajem lub pieszo, co już zupełnie zależało od zamożności chłopą; również tygodniowo po jednym dniu kobiecym, używanym do lżejszych robót. Naturalnie, że robota sprzężajem więcej się ceniła od pieszej; tem to też tłómaczy się ówczesne dążenie dworu do zamożności poddanych mu włościan i bezpłatne udzielanie im, w razie zubożenia, roboczego inwentarza, aby gospodarz, lub, jak wtedy nazywano, roboczy numer, z kategorii pieszych przeszedł do kategorii t. zw, ciągłych, mających przynajmniej parę inwentarza roboczego, lub, co lepiej jeszcze, do samopłużnych, mogących swym własnym pługiem o sześciu koniach lub wołach wyjechać na łan dworski.

Taki dzień samopłużny liczył się zwykłe chłopowi za trzy dni sprzężajem, tak, że

w jednym dniu odrabiał on powinność za cały tydzień, a orząc, dajmy na to, przez trzy dni na łanie dworskim, wolnym był przez tyleż tygodni od wszelkiej powinności dla pana.

Było w owej epoce w ogólnem użyciu, co niemal stało się prawie zwyczajowem, że dwory utrzymywały na swe posługi bezpłatną służbę ze swych własnych poddanych. Zdawało się to nader wygodnem, gdyż dla utrzymania niższego etatu ekonomicznego literalnie nie wydawano ani grosza gotówki. I tak: na posadach gumiennych (karbowych), przysiężnych przy magazynach zbożowych, fernalów, pastuchów, owczarzy, nocnych stróżów, których zwano wartownikami, atamanów, czyli zakaźnych, używanych do dozoru polnych robót, stróżów polowych, nawet niektórych rzemieślników, pochodzących ze stanu poddańczego, równie też jak i pobereźników, zaliczonych do straży leśnej, widzieliśmy wszędzie tylko swoich miejscowych włościan, służących cały rok nibyto bezpłatnie.

Tak to się wówczas wydawało z boku i sami włościanie inaczej tego nie rozumieli, mówiąc, że służą panu darmo z gruntu, to jest z nadziału ziemi. Rzeczywiście nie by-

ło to bynajmniej bezpłatną służbą, gdyż, gdy jeden z całej rodziny służył we dworze, reszta członków tak zwanej tu «semii» (rodziny), osiadłej w jednej chacie i stanowiącej numer roboczy, za używalność całego nadziału, to jest gruntu, wynoszącego do 30-tu morgów ziemi, zupełnie wolną była od wszelkiej powinności, nawet od opłaty podatków państwowych, które dwór za tę rodzinę wnosił do skarbu.

To zaś, wedle ówczesnej niskiej taksacyi robocizny, ustanowionej około 1840 roku w t. zw. inwentarzach, wprowadzonych przez generał-gubernatora Bibikowa, wraz z różnemi dodatkowemi powinnościami, należnemi dworowi z każdej chaty, wynosiło co najmniej od 50-iu do 60-iu rubli rocznie; każdy zaś przyzna, że temu lat kilkadziesiąt, gdy wszystko na świecie było tańszem, nie stanowiło to bynajmniej niskiej opłaty za służbę spełnianą niedbale, prawdziwie jak za pańszczyznę, wedle powszechnie wówczas używanego wyrażenia. Łudziły się więc strony obydwie, i chlebobawców i służących, będąc przekonani jedni, że nic służącym nie płacą, a drudzy, że służą zupełnie darmo.

Na takich więc prawach, dostatecznie zdaje mi się wyjaśnionych, pozostawali wszędzie dawni pobereżnicy, czyli strażnicy leśni. Jak mówiłem wyżej, stanowili oni osobną kastę, bo od wieków spełniali te posługi i trudno ich było użyć do czego innego, gdyż rzeczywiście nic innego nie umieli. Ale przyznać trzeba, że na swych posadach byli wprost niezamienieni. Pilnowali oni całości lasów wedle ówczesnych pojęć: bardzo surowo względem obcych, a daleko pobłażliwiej względem swych sąsiadów z własnych wsi, mówiąc najprostoduszniej: «My pańscy i las pański.» Lecz i to zależało od sprężystej ręki leśniczego, podleśniczych, a zresztą samego pana, jeżeli chciał i miał czas podobnymi drobiazgami się zajmować. Wszakże rygor pod tym względem tam, gdzie go chciano sprawiedliwie zastosować, był wielki.

Nie wszczynano wówczas o kradzieże leśne spraw w sądach pokoju, bo ich jeszcze w kraju nie posiadaliśmy, a do sądów ziemskich, to jest do policyi, udawano się jedynie w razie przestępstw państwowych, do których podobnych kradzieży naturalnie nie zaliczano; ze złodziejami leśnymi postępowano

bez ceremonii: odbierano im siekiere, nóż, sanie, chudobę, to jest sprzężaj, i wymierzano kary, mające być odrobione w naturze. Z własnymi włościanami postępowano doraźnie, wymierzając im na miejscu lekką karę dyscyplinarną, która była skutecznym bodźcem przeciw bezkarności, lub, w ważniejszych razach, odsyłano ich do samego pana, wyrokującego o tych złodziejach na mocy przysługującego mu prawa policyi dominialnej. Jeżeli złodziej leśny pochodził z innego dominium, to odstawiano go pod wartą, przy odezwie ekonomii, do jego własnego dziedzica.

Niepoprawnych zaś złodziei, zbyt często łapanych na gorącym uczynku, dziedzice oddawali do wojska w rekruty, jakby do jakiego zakładu poprawczego, co wówczas uważane było za najwyższą karę dyscyplinarną, z powodu służby wojskowej, trwającej dwadzieścia pięć lat.

Gdzie zaś ten rygor był sprawiedliwy, tam sami pobereźnicy czuli to doskonale i z całą sumiennością spełniali swe obowiązki. Jednym z główniejszych było asystowanie przy t. zw. leśnej odbiorce, tam, gdzie

sprzedane zostały kupcowi sosnowe belki koronne i dębowe klepki gdańskie.

O krzyczących nadużyciach, popelnianych przez żydowskich kupieckich brakarzy, mówiłem obszernie w rozdziale poprzednim.

Pobereźnik więc powinien był pomagać leśniczemu przy odbiorze materiałów w rewirze leśnym, powierzonym jego dozorowi; lecz w większych leśnictwach ustanawiano zwykle jednego atamana, czyli t. zw. przysięgłego, nad całą strażą leśną. Obowiązkiem jego było być przy każdej odbiorce i karbować nożem na opieczętowanym długim karbie (gdyż ludzie ci zwykle byli niepiśmienni) każdą sztukę, z oznaczeniem jej długości i grubości, co się powinno było zgadzać z raportem leśniczego.

Tym sposobem miano na myśli uniknąć szachrajstw żydowskich i mogących się narodzić nadużyć oficyalisty. Rzadko kiedy taki przysiężny pod tym względem wpadał w deces, bo rzeczywiście funkcję swoją, nieraz przed dziedzicem zaprzysiężoną, cenil wysoko.

Niewiele to jednak pomagało, bo sprytny żyd brakarz potrafił zawsze z łatwością

otumanić biednego, nieumiejącego pisać chłopca, choć poczciwość jego pod względem rachunków, pokazanych na karbach, trudno było podejrzewać.

Dawni pobereźnicy znali las jak swoją własną kieszeń, bo się w nim niejako zrodzili i od młodości przywykli tu w najciemniejszą noc się oryentować; każdy z nich miał powierzoną swemu dozorowi część lasu, zwaną luką.

Tam urządził dla siebie szałas, zwany pobereźnicką budą, gdzie grzejąc się u ogniska, literalnie cały rok mieszkał i dokąd mu z własnej chaty, oddalonej o kilka wiorst w sąsiedniej wsi, przynoszono raz na tydzień chleb i nędzną strawę, którą sam sobie gotował.

Nie znano jeszcze bowiem wtedy owych eleganckich domków strażniczych, t. zw. leśniczówek, które teraz dopiero zaczęto w gub. Wołyńskiej budować. Przeznaczano wprost pobereźnika na daną lukę, a on własnym przemysłem powinien się był zabezpieczyć od zmarznięcia i śmierci głodowej. Kiedy ten człowiek spał i czy się kiedy rozbierał, rzeczywiście nie wiadomo, — bo ledwo że miał

czas w dzień przy ognisku trochę się osuszyć i zmokłe chodaki odmienić, w nocy bowiem szczególnie należało bardzo pilnie całą lukę obchodzić i nasłuchiwać gdzieś w głębi lasów stuku potajemnej siekiery.

Jeżeli zaś kiedy niepostrzeżenie zostało jakie drzewo z pnia spuszczone i od razu z miejsca niezabrane, to musiał on we dwóch lub we trzech z sąsiednimi kolegami robić w nocy t. zw. «zasadzkę», aby w dostatecznej sile złodzieja, przyjeżdżającego po skradzione drzewo, zatrzymać i do leśniczego zaprowadzić; musiał też pobereźnik co drugi lub trzeci dzień do niego chodzić z raportem, zwykle piechotą, bo tylko zimą, w czasie polowania, wyjeżdżał, dla prędszej posługi lub objechania kniei, jednokonnymi sankami.

W czasie polowania dawni nasi pobereźnicy byli wprost nieporównani i wtedy dopiero przekonać się było można, co oni rzeczywiście byli warci i co umieli. Jak dzicy Indianie, kierowali się swym wrodzonym, ludowym instynktem; lepiej od każdego najlepszego nowoczesnego myśliwego znali zwyczaj zwierza i niedostępne ścieżki leśne, któremi on miał przechodzić.

Z pewnością, że podobne zalety mają i nasi karpaccy górale, gdy śledzą za niedźwiedziem, jeleniem lub kozicą; niemieccy strzelcy także są pod względem wytropienia zwierza bardzo przemyślni, ale oni, w porównaniu z naszym wołyńskim chłopem, są intelektualnie daleko wyżej wykształceni i operują na terenie o wiele łatwiejszym, bo w lasach, gdzie niemal ścieżki są zamiecione i wszędzie przecięte przesiekami dla łatwiejszego zorientowania się. Chciałbym jednakże widzieć takiego Niemca w dawnych naszych lasach wołyńskich, ciemnych jak puszcza, zarośniętych gęstwiną, porastającą po bagnach, po których swobodnie przejść można tylko wtedy, gdy należycie zamarzną, gdzie linie sekcyjne, jeżeli one wyjątkowo gdzie egzystują, zavalone są często drzewami wywrotami od burzy i gdzie zimą wszystko pokryte nadzwyczaj wysokim i kopnym śniegiem. Przestrzenie zaś to ogromne; taką dawną pobereżnicką lukę w Niemczech z pewnością rozdzielonoby pomiędzy pięć lub sześć rewirów strzeleckich.

Gdy pan z zaproszonymi gośćmi miał zamiar zjechać do swych lasów na zimowe

polowanie, uwiadamił o tem swe leśnictwo, które na kilka dni naprzód rozporządzało się, aby każdy z pobereżników z rana do świtu i przed zachodem słońca pilnie obcinał, to jest objeżdżał swą lukę.

Powinien on był wtedy z wieczora pozacierać na śniegu wchodzące i wychodzące tropy grubszego zwierza, to jest: dzików, wilków, sarn, a nawet i lisów, bo na inny drobiazg, choćby na zająca, w większych lasach nie zwracano uwagi. Naturalnie, że losie i rysie, jeżeli się gdzie wyjątkowo znajdowały, najpilniej śledzić wypadało.

Niestety, oprócz na głębokiem wołyńskiem Polesiu, nad samą granicą litewską, te dwa gatunki przedniego łownego zwierza, również jak i niedźwiedź, trudno w tutejszych lasach spotykany, dziś już stanowią rzadki wyjątek.

W właściwym Wołyniu w jednym tylko leśnictwie Cumańskiem powiatu Łuckiego, należącym do ordynacyi Ołyckiej księcia Ferdynanda Radziwiłła i oddalonym zaledwie o parę mil od przebiegu kolei południowo-zachodnich, znajdują się jeszcze losie, które tam nadzwyczaj szanują, oraz rysie, które, jako

istnych rabusiów na sarny, niemilosiernie tępią. Lecz w właściwym środkowym Wołyniu dziki i wilki stanowią dotąd naszą grubą zwierzynę.

Dziki w ostatnich czasach nadzwyczaj się rozmnożyły w lasach, należących do dóbr Sławuckich i Szepetowieckich, jedynie dzięki wielkiej dbałości o zwierzostan.

Wilków mieliśmy dawniej mnóstwo na całym Wołyniu, tak, że stanowiły one prawdziwą plagę dla okolicznej ludności. Gniazdzili się one nie tyle w głębi wielkich sosnowych lasów, nie tak gęsto zaludnionych, jak po lasach liściastych, bardziej zwartych i zacienionych, pokrywających jary i rozdoły wołyńskie, gdzie im łatwiej było wychowywać swe potomstwo, mając w bliskości ludne wsie z wielką liczbą bydła i owiec. Coraz bardziej od 1869 roku zwiększająca się w środkowym Wołyniu kolonizacja Czechów, karczujących nabyte przez siebie ziemie i lasy w najniebezpieczniejszych miejscach, stała się powodem znacznego zmniejszenia wilków, tych istnych wiejskich szkodników. Straciły przez to nasze wołyńskie polowania, lecz zyskało wielce bezpieczeństwo.

Dziś bowiem w miejscach, gdzieśmy przed 20-tu laty strzelali w głuchych leśnych ostępach wilki gniazdowe, wznoszą się schludne kolonie czeskie, porządnie zabudowane, otoczone drzewami owocowymi, wysadzane, wedle zagranicznego zwyczaju, po miedzach, i zieleniejącym się dojrzałym winogradem, hodowanym pod murami. Tak to w krótkim przeciągu czasu, w niespełna lat dwadzieścia kilka, sam kraj zmienia swój zewnętrzny wygląd, bezwiednie dążąc do cywilizacji i postępu, którego Czesi, osiadli na prawie kolonistów, mimo wielu ich stron ujemnych, stają się w tej części Wołynia jednym z głównych czynników. Dziś, z powodu praw restrykcyjnych przeciw obcokrajowcom, wpływ ich z zagranicy zupełnie już ustał, lecz przyznać należy, że Czesi, którzy się tu w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia gęsto osiedlili, niezmiernie wpłynęli na nowy, zupełnie dotąd nieznaną wygląd tej części kraju.

Lecz wróćmy do polowania, a raczej do pobereżników, od których znowu samochcąc odbiegłem. Dotąd więc dzik pozostał tu królewską zwierzyną naszych łowów. Za nim też pobereżnicy najpilniej śledzić powinni i po

tropach, odbitych na śniegu, poznać: czy to stary odyniec v. pojedynek, czy młody trzyletni wycinek, czy też samotna maciora, chodząca osobno, czy maciora z warchlakami (prosiętami) i ile ich za sobą prowadzi.

Wszystko to pobereźnik powinien po śniegu, jak z książki, wyczytać; nigdy się w tem nie myli, jest nawet w stanie określić, kiedy mniej więcej zwierz przechodził, co się łatwo daje poznać po świeżym lub nocnym szronem okrytym tropie. Objeżdżając swą lukę wokoło, ale zawsze pod wiatr, wiedział on doskonale, jakie stadko sarn do niej z nocy wskoczyło, czy gdzie nie przebiegł myskujący lis; mógł nawet powiedzieć, w jakim miejscu najwięcej tropów igrających z sobą wśród jasnej, mroźnej nocy zajęcy. Ale to były już wiadomości drugorzędne.

Jeżeli zaś gdzie spostrzegł ślady wilcze, to obowiązkiem jego było najpilniej za nimi śledzić, aby wiedzieć, czy w susach biegły za jaką zdobyczą, czy też spokojnie przeszły przez lukę na drugą stronę i w jakim mianowicie kierunku, czy też wreszcie gdzieś pod wywrotem na cały dzień nie obległy, coby dowodziło, że są najedzone i że łatwo

je w kniei objechać, aby natychmiast na nie zapolować. Wilk bowiem, jako szkodnik i rabuś, miał w takim razie prym przed dzikiem i, wedle reguł myśliwskich, pierwszy strzał mu się należał. Objazd taki powinien był pobereźnik dla pośpiechu odbywać własnymi, jednokonnymi saneczkami, nadzwyczaj cicho i ostrożnie, aby gdzie nie spłoszyć sarn, często stojących w gęstwinie nieopodal od drogi. Należało mu po cichutku z saneczek zeskoczyć, aby zatrzeć wchodzące i wychodzące tropy, co służyło do myśliwskiej kontroli, i uważać, skąd wiatr pociąga, aby dobrze zaprowadzić naganę, zwaną po tutejszemu obławą.

Gdy pan z gośćmi przyjedzie na oznaczony w lesie punkt zborny, to należy cierpliwie czekać powrotu wszystkich pobereźników, wysłanych na objazdy, aby z ich szczegółowych raportów wnosić, od jakiej kniei polowanie rozpocząć. Wybór ten należał już do leśniczego, lub łowczego, kierującego całym polowaniem, bo tu, jak na wojnie, jedność władzy i wielka karność są niezbędne.

Czasem, w wyjątkowych razach, posyłało jeszcze raz pobereźnika, dodając mu dru-

giego do pomocy, dla krótszego objęcia leżącego w miejscu, to jest w legowisku, najczęściej w ogromnym mrowisku, starego odyńca. Trzeba było wtedy słyszeć, jak ci ludzie pomiędzy sobą się naradzali: skąd mają się rozjechać, gdzie mianowicie mają się na nowo spotkać, oznaczając dokładnie miejsca i nazwy leśnych uroczysk różnymi tak zwanymi przykmetami, to jest wywrotami, jamami, lub jakąś tam olbrzymią bartną sosną jakiegoś Ostapa lub Sydora, to jest jednego z przodków, owych dawnych pobereźnickich antenatów (bo i ci ludzie mają swą arystokrację), który przed kilkudziesięciu laty hodował w dziupli owego odwiecznego drzewa dzikie pszczoły. Najczęściej zaś, dla ścisłego oznaczenia miejsca, mówili o myśliwskim stanowisku, na którym niegdyś to, dawniej, przed laty, taki to pobereźnik, lub zresztą ojciec dziś żyjącego pana, kulą powalił ogromnego dzika, lub ubił kozła, sadzącego w susach po strzale.

Za ich powrotem, rozdzielano strzelców na dwie partye, mieszając lepszych z gorszymi, aby, wedle wskazówek pobereźnika, zrobić w kniei konieczny załom w linii myśliwych; obliczano całą obławę (nagankę), zło-

żoną z wiejskich chłopaków, powierzając jej prowadzenie kilku pobereźnikom, z których jeden we środku a dwaj po skrzydłach powinni byli na wiatr wystrzelić zaraz, gdy tylko obława huknie i ruszy z miejsca, w celu, aby zwierz—często bardzo nieposłuszny, szczególnie jeżeli to stary, nieraz już polowany odyniec—nie rzucił się w tył. Poczem dopiero ruszano piechotą, po cichu, starając się, aby mroźny śnieg jak najmniej skrzypiał pod nogami. Starszych i poważniejszych gości podwożono saneczkami bliżej do oznaczonego im stanowiska.

Stary, wytrawny strzelec, zwykle zwany w większych leśnictwach atamanem pobereźników, z uszanowaniem podprowadzał gościa na stanowisko, nisko mu się kłaniając, cichutko udeptywał głęboki śnieg, nieznacznie obłamywał gałęzie, dla ułatwienia strzału, szeptem objaśniał, skąd ruszy obława i ile będzie w kniei t. zw. pustych strzałów, tłomacząc, że następny dopiero strzał będzie do grubego zwierza, i w końcu odchodził, żegnając nieznacznie to miejsce krzyżem świętym, bo polowanie na dzika, szczególnie раннего po strzałach, bywało nieraz bardzo niebezpieczne

Postać takiego pobereźnika była bardzo typowa i charakterystyczna. Wysoki, dobrze zbudowany, zwykle o sympatycznej twarzy i jasnych, mądrych oczach, widzących bardzo daleko, miał ten stary chłop wołyński ruchy swobodne, prawie elastyczne. Szczególnie podziwiałem zawsze sposób chodzenia tych ludzi, prawdziwych dzieci natury, żyjących ciągle w lasach, i chód ich porównywałem do owego sławnego «*pas gymnastique*,» którym się żuawi w armii francuskiej odznaczyli.

Kto wie jednak, czy nasz pocziwy pobereźnik nie prześcignąłby w chodzie niejednego żuawa,—szedł bowiem ogromnymi krokami, lekko, posuwicie, lecz bardzo szybko, nie wydając najmniejszego szelestu, omijając po drodze suche gałęzie, tak, że jak cień przesunął się wśród ogromnych sosen.

Pilnie jednak rozglądał się na wsze strony i nic nie uszło jego wagi. Odziany w sukmanę z kapturem z własnego wełnianego samodziału, w taką czapkę rogatywkę, zwaną w gub. Wołyńskiej «magierką,» która okrywa głowę podpaloną wedle dawnej mody, dotąd zachowywanej pomiędzy ludem tutejszym po wsiach bardziej oddalonych od kolei i cen-

trum cywilizacyi, tam, gdzie włościanie trzymają się jeszcze stroju swych ojców i dziadów. Na nogach nie buty, które tylko do cerkwi i na jarmark używa, lecz lekkie z lipowej kory chodaki, tak zwane «postoly,» zgrabnie obmotane rzemykami, na grubych wełnianych onuczkiach, co doskonale nogi chroni od zimna.

Takim się dotąd przedstawia pobereźnik ze starego autoramentu, jeżeli się jeszcze gdzie zachował w całej czystości swego typu, o czem jednak wątpię, bo starzy z roku na rok wymierają, a młodzi wstydzą się już ubioru swych ojców i dziadów. Przez plecy miał pobereźnik nieodmiennie przewieszoną dużą borsuczą torbę własnego wyrobu i trąbkę myśliwską, dla otrąbienia się leśniczemu, lustrującemu jego lukę; u pasa kozik na długim rzemyku i kapciuszek, t. zw. hamaneć, z hubką i krzesiwkiem dla rozniecienia ognia w lesie. Co rzeczywiście tam zawierała ta jego ogromna borsucza torba, to już nikomu nie było wiadomem; zapewne trochę prostego tytoniu (machorki) własnej hodowli, nieco chleba, sadła, soli i kilka pieczonych katrofli, a być może starannie zawinięty w szmatkę witeru-

nek na lisa, dla brania go na żelazo. Skórka bowiem lisia, potajemnie sprzedana żydowi, była szczytem marzenia każdego pobereźnika. Z pewnością, że na polowaniu, przy panu i gościach, owa niezgłębiona torba mieściła w sobie «magierkę» czyli rogatywkę pobereźnika, aby jej ciągle nie zdejmować, lub o gałęzie nie zaczepiać. Niema zaś obawy, aby podgolona jego czupryna zmarzła na mrozie, bo od dzieciństwa do tego jest przyzwyczajona. Na lewem zaś ramieniu, na sukiennej krajce lub rzemyku, przewieszona jednorurkowa flinta, w lipowej lub olchowej osadzie, niewiadomego pochodzenia, wyrobu być może wiejskiego kowala, dla mocy powiązana sznurkami i odrutowana, z której pobereźnik rzadko kiedy chybiał, choć często z niej strzelał na ogromną metę za uchodzącym z kniei zwierzem, lub za głuszcem, wysoko ciągnącym nad sosnami.

Nieraz mię to rzeczywiście w podziw wprowadzało, póki się nie przekonałem, że u wielu takich pobereźników zdarzają się przekazane z ojca na syna jakieś lufy tureckie lub hiszpańskie ze ślicznym dziwerem, zupełnie już startym, Bóg wie skąd pochodzą-

cym. Ten, który miał szczęście posiadać podobną donośną strzelbę, niezmiernie ją szanował, nikomu jej nie powierzał, w obawie, aby mu jej kto «nie zamówił.» Jeżeli flinta zaczęła «żywić,» to jest, że raniła zwierza, nie obalając go na miejscu, to ją chłop, wedle swego pojęcia, «odżywiał,» kładąc do lufy jadowitego węża, zwanego u ludu gadziwą, którego należało zaraz po północy, żywego jeszcze z lufy wystrzelić. To był jeden z niezawodnych sposobów dla zdjęcia uroków ze strzelby. Pobereźnicy używali ogromnych nabojów prochu i śrutu, a szczególnie grankulek, częściej jeszcze ołowianych «siekańców,» tak, że literalnie od wystrzału kurek nazad przy twarzy zwodziło.

Jedną dużą loftkę, zawiniętą w klaki, pakowali zwykle w lufę, szczególnie na grubego zwierza, bo wogóle kulą rzadko który z nich dobrze strzelał. Nabój pobereźnicki bywał zwykle bardzo huczny i głośny i z łatwością się go w kniei odróżniało od innych wystrzałów. Na zrobiony im z tego powodu zarzut odpowiadali zwykle ludowem myśliwskim przysłowiem, w swem własnem nareczu, że flinta powinna być tak silnie na-

bita, aby się dostało «po kozi i po lozi,» to jest i sarnie i lozie. Dawni pobereźnicy tak byli zaufani w doniosłość swej własnej broni, że z niedowierzaniem przypatrywali się naszym pięknym myśliwskim strzelbom; szczególnie broń odtylcowa w podziwienie ich wprawiała, niemniej nie zgodziliby się za nic pójść z nią na grubego zwierza.

Dotąd mnie staremu żywo stają w pamięci te piękne chwile niezrównanego zachwyty myśliwskiego, gdy wśród imponującej ciszy leśnej trąbka skrzydłowego pobereźnika dawała hasło, aby obława z miejsca ruszała. Wnet potem, z daleka bardzo, z głębi kniei, zaczęły się odzywać nawoływania naganki, którą zaledwie odróżnić było można od majestatycznego szumu odwiecznego lasu sosnowego. Gdzieś wysoko przelatywał kruk, dając znać o sobie głośnym potrójnym krakaniem, lub krzykliwa sójka, wedle podania ludowego, uprzedzała strzelca o ruszeniu zwierza. Tymczasem wszystko jeszcze było cicho w głębi boru, iskrzącego się w promieniach bladego, zimowego słońca, przeziarającego przez gałęzie, dyamentami zmarzłego śniegu.

Taki wokoło ciebie panował spokój w całej uśpionej zimowej przyrodzie, że mimowolnie stawało ci się lekko i błogo na sercu, bo chwilowo czułeś się oderwanym od wszelkich trosk i drobnych zabiegów, zamacających ci życie codzienne, i mimowoli czułeś się bliżej Stwórcy, którego spokojnie i niemo sławiłeś w całym Jego stworzeniu. Gdzieś tam nad twą głową kuł sobie pracowity dzięcioł, szukając w korze robaczek, sam zaś stałeś nieruchomie, jakby przyrosły do sosny, z dubeltówką w ręku i z sercem mocno bijącym, jak młotem, pod myśliwską lisiurą. Wtem ozwał się strzał jeden, drugi, trzeci. Oczekujesz niecierpliwie czwartego, jako już pewnego do objechanego dzika. Lecz oto i on huknął ci gdzieś w prawo i głośne echo rozniosło się po borze. Z wyteżonym wzrokiem patrzysz w tę stronę. Strzały się zbliżają, serce mocniej ci bije. Słyszysz głośne: «pilnuj, pilnuj!» i rozjuszony, ranny odynec, pieniaący posoką, z gęstwiny wypada ci «na poleć.» Z zimną krwią, jak stary, doświadczony strzelec, mierzysz go w komorę i rozciągasz go celnym strzałem na kilka kroków od twych stóp. W tej chwili wypada z gę-

stwiny zadyszany pobereźnik, tropiący tę bestyę od kilku dni, z okrzykiem radości: «Nu, sława Bohu, że jasnemu panu tak się dzielnie udało!» — butnie przyklada trąbkę do ust dla otrąbienia zwycięskiego potrupnego, z dodaniem głośnego okrzyku: «un upadł, un upadł!» — co wszyscy inni myśliwi i pobereźnicy oraz cała naganka doskonale rozumieją i śpiesznie podążają do ciebie, bo tym jednym celnym strzałem stałeś się mimowolnie królem polowania i ogromnie wyrosłeś w opinii pobereźników, owych synów leśnej natury, nadzwyczaj wysoko ceniących doniosłość strzelby i pewność kierującej nią ręki.

Nie na tem jednak kończył się tryumf króla polowania. Jeden z pobereźników przystępował natychmiast do patroszenia dzika, co robił nadzwyczaj umiejętnie; wydobywał z niego bardzo zgrabnie śmiertelną kulę, którą z pięknym, w swem ruskiem narzeczu, komplementem ofiarował dzielnemu strzelcowi, bo, wedle starej tradycyi myśliwskiej, podobna kula stanowiła nadzwyczaj cenny talizman i była zawsze nader szczęśliwą. Nie obeszło się też bez różnych komentarzy o trafności strzału, o tem, jak zwierz ruszył z le-

gowiska, jak się początkowo rzucił na obławę, gdzie go owe puste strzały napłoszyły; jak później składał w stronę myśliwych, jak w susach sadił ponad linią strzelców; obliczano w końcu, ile zjadł strzałów, póki go ten ostatni na miejscu nie powalił. Trzeba było słyszeć, jak pobereźnicy obrazowo to opowiadali, jak im się przytem oczy z radości iskrzyły, bo wszyscy oni byli ochoczymi, dzielnymi myśliwymi; to już od młodości tkwiło w ich naturze i taki tryumf był dla nich prawdziwą uroczystością.

Tymczasem duże, obozowe ognisko, do którego ochocze chłopaki coraz więcej ściągali suchych kłód i gałęzi, wesoło strzeliło w górę, liżąc niemal konary pięknych, mimo zimy zielonych sosen. Wesoło się więc liczna czereda myśliwska około niego grupowała. Przygrzewano duże łądło, wyjęte z sianek, obficie napełnione wołyńskimi zawijanymi zrazami z hreczaną obwarzaną kaszą, i polewane garnki z tradycyjnym hultajskim bigosem na kapuście, którego nigdy w miedzianych naczyniach przewozić nie należy. Służba dobywała barylki i puzderka z napojami, zaczęła z rąk do rąk krążyć srebrna

czarka ze słynną wołyńską starką. Straż leśna ustawiała szeregiem, jak u nas mówią, ławą, wszystkich chłopaków i strzelców włościan dla rozdania im blaszanką prostej siwuchy, stanowiącej istny specyał. Szlachta *minorum gentium* i strzelcy przybrani z waszecia raczyli się osobno z rąk którego z podleśniczych i spożywali dary Boże, pozostałe po gościach, należących do rzędu *honoratiores*. A jak one, zakropione kieliszkiem star-ki i oblane w końcu szklanką pieniącego się piwa lub lampką starego miodu, wyśmienicie smakowały, jaki to u każdego był apetyt, pobudzony rannem wstaniem, ruchem i owem zdrowem, balsamicznem powietrzem!

Brano jeszcze jedną knieję przed zachodem słońca, bo dni już krótkie o tej porze roku, i wracano na leśniczość, gdzie w kilku pokojach rozlokowywała się dobrana i ochocza myśliwska drużyna, posilając się niewykwintnym, lecz wszystkim doskonale smakującym obiadem. Cały wieczór, mimo zmęczenia, nie ustawały jednak rozmowy o różnych epizodach dzisiejszego polowania; opowiadano sobie dawniejsze przygody, zabarwiając je znanymi konceptami myśliwskimi,

często zupełnie nieprawdopodobnymi, i w końcu szło się na spoczynek, marząc o nowych tryumfach w dniu następnym.

Tryumf ten jednak mieli panu i gościom przygotować znowu nasi skromni pobereżnicy, którzy, zaledwie posiliwszy się ostatkami pańskiego obiadu i ogrzawszy się nieco w ciepłej izbie, szli przespać się trochę do jakiej sąsiedniej chaty, bo ich własna była zwykle daleko. Zaraz bowiem po północy, po długiej naradzie z leśniczym lub łowczym, musieli saneczkami wyjeżdżać na obcinki swych luk, tak, aby szarzejący świt zastał ich już w lesie i aby mogli nazad pośpieszyć z raportem, póki panowie się nie przebudzą o rannej godzinie.

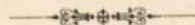
Tak więc, mniej więcej, wyglądali nasi dawni wołyńscy pobereżnicy ze starego autoramentu, do których dzisiejsi o całą piędź nie doróśli, bo są tylko lepszymi lub gorszymi strażnikami leśnymi, a co do myśliwstwa—nieudatną tylko kopia swych poprzedników. Dawni bowiem byli prawdziwymi myśliwymi z powołania, bo z tem zrosli się od młodości, to było niemal w ich dzielnej naturze, a nasze wielkie polowania, tu pobieżnie na-

szkicowane, były dla nich istną uroczystością, na którą cały ról z upragnieniem oczekiwali. Oprócz bowiem spełnienia własnego służbowego obowiązku zadowolenia własnej satysfakcji, dostawał nieraz sute napiwki od przyjezdnych gości. Jak tu bowiem nie wynagrodzić takiego zucha, który cię nieraz za sobą w pojedynkę podprowadzał na strzał do legowiska ogromnego dzika, spokojnie spoczywającego w mrowisku, lub zimą objeżdżał stado wilków tak umiejętnie, że żaden z tych szkodników się nie wykręcił? O kunszcie ich odwabiania i obrzucania ich sieciami, o czym nowocześni myśliwi nie mają nawet przybliżonego pojęcia, mówiłem już poprzednio. Wspomnieć jednak muszę tu jeszcze, że niektórzy pobereźnicy, których luki obejmowały lasy czarne, tak zwane liściaste, doskonale umieli wytrapać borsuki.

Urządzali na nie dla pana i gości śliczne polowania, wśród jesiennej nocy księżycowej, gdzie borsuka, zawzięcie broniącego się przed psami, zakłuwano oszczepami, czyli pikami. Wszystkie psy prowadził prosty kundys, specjalnie do tego przez pobereźnika ułożony. Rezultat zawsze był znakomity,

a polowanie dziwnie interesujące. Trzeba było jednak przedwcześnie pozatykać wszystkie jamy, aby borsuk, wracający z żeru, w nie się nie schronił, znać doskonale las i specjalnie ułożyć psa do podobnego polowania, który dziwnem, chrapliwem szczekaniem ostrzegał myśliwych o zwierzu; to się też nigdy nie obeszło bez pomocy miejscowego, starego pobereźnika.

Dlatego typy owych dawnych wołyńskich pobereźników są dla mnie, i sądzę, że dla każdego czciciela św. Huberta, tak sympatyczne, bo przypominają nam lata naszej młodości, gdy się doznało tylu rozkosznych wrażeń wśród pięknych lasów wołyńskich, nie tak jak dziś wyniszczonych. Niestety, typy te coraz bardziej wymierają, tak, że się wkrótce już nie spotkamy z prawdziwym wołyńskim pobereźnikiem ze starego autoramentu.



ARENDAZ.

Tak ryba bez wody, jak ptak bez powietrza, tak szlachcic polski nie może się obejść bez żyda. Dla wielu wyda się to już dziś przestarzałą maksymą, coraz bardziej zanikającą wobec nowych stosunków, a przeważnie nowych antysemitycznych prądów, a jednak, mimo to, obstaję przy mojem zdaniu, bo pochlebiam sobie, że znam nieźle swoją okolicę i wiem dobrze, że tu u nas, niestety, szczególnie w życiu wiejskiem, bez żyda obejść się prawie niepodobna. Nie wiem, jak tam się dzieje pod tym względem w W. Ks. Poznańskiem lub w prowincjach Nadbaltyckich, bo bardzo dawno już tam nie bywałem,—lecz wiem, że w całej Galicyi wschodniej i zachodniej, w Królestwie Polskiem i na całym obszarze trzech gubernii południowo-

zachodnich małomiasteczkowy i wiejski żyd dworski, ów tradycyjalny nasz dawny arendarz, a w Królestwie i Galicyi pachciarz, odgrywa dotąd wielką rolę w codziennem życiu obywatela wiejskiego. Gdybyśmy, jakimś cudem Boskim, pewnego poranku, za przebudzeniem się, ujrzeni kraj cały literalnie z żydów ogołocony, to, dalibóg, nie wiem, jakibyśmy wyglądali.

Nie jestem bynajmniej judofilem, lecz też i za judofoba uchodzić nie pragnę. Pojmuję doskonale szkody, wyrządzane naszemu społeczeństwu, szczególnie nadzwyczaj ujemny wpływ na moralność tutejszego ludu, wywierany od wieków przez tę silną i żywotną rasę semicką; lecz, uderzywszy się w piersi, zapytajmy siebie szczerze: czyśmy sami poniekąd temu nie winni? Przychodzi mi tu na myśl zdanie, wypowiedziane przez jakiegoś francuskiego myśliciela, którego nazwiska w tej chwili sobie nie przypominam, że *«chaque nation a les juifs, qu'elle a mérites»* — każdy naród ma takich żydów, na jakich zasługuje. Obecnie antysemityzm jest w modzie we wszystkich sferach. Nadzwyczaj trzeba być odważnym, aby brać stronę żydów. Ja

jednak będę miał tę odwagę, naturalnie w ramach tego skromnego obrazka, jedynie przez poczucie wrodzonej sprawiedliwości.

Rozpowszechnionem jest mniemanie pomiędzy ludźmi wykształconymi, że nasz król Kazimierz Wielki żydów do Polski sprowadził. Jemu też najczęściej przypisują szkody, jakie rasa semicka naszemu narodowi wyrządziła. Jednakże widzimy z historyi, że żydzi już w VII-ym wieku naszej ery na dobre osiedleni byli w krajach słowiańskich i że ich sekta karaitów dała początek potężnemu państwu Chazarów, położonemu pomiędzy Wołgą a Dnieprem. Stąd, wedle kronikarza Nestora, wyprawionem zostało w r. 988 owo słynne poselstwo do Kijowa, do Włodzimierza Wielkiego, w celu skłonienia go do przyjęcia, razem z całym narodem, wiary żydowskiej. Świętopelk w 1142 r. pozwolił żydom swobodnie osiedlać się w Kijowie i zajmować się wszelkim handlem; wpływ żydów był już wtedy tak silny, że Włodzimierz Monomach uznał za stosowne ukrócić trochę przywileje kapitalistów żydowskich; około 1155 r. pojawiają się już żydzi na Litwie. Wedle Narbutta, byli już w Wilnie za Gedymina

i Olgerda. W zachodniej Słowiańszczyźnie pojawili się daleko później, bo dopiero w XI wieku widzimy ich na Śląsku, skąd się stopniowo rozszerzyli na ziemię polskie. Gdy ich w Niemczech srogo prześladować zaczęto, dopiero wtedy Kazimierz Wielki obdarował ich przywilejami, bardzo być może, że pod wpływem pięknej Esterki, tak, że dobrobyt żydów w Polsce stał się wtedy przysłowiowym w Europie; dozwolone im bowiem było: dzierżawić i brać w zastaw dobra szlachty ziemskiej i zabezpieczać swe sumy wedle ich woli w księgach: grodzkich, starościńskich, lub ławniczych. To nam jasno tłómaczy ów żargon, nazwany u nas żydowskim, który nie ma najmniejszej analogii z hebrajską mową ich palestyńskich przodków,—jest on bowiem zepsutą gwarą mowy Niemców, tak niemiłosiernie w średnich wiekach prześladowających żydów, od czego nasz Wielki Król, w swej wrodzonej dobroci, ich obronił i osłonił w Polsce swą potężną opieką.

Jedynie więc poczucie prawdy pobudziło mnie do zacytowania tych kilku historycznych szczegółów, aby dowodnie przekonać każdego, że bynajmniej nie Kazimierzowi

Wielkiemu zawdzięczamy tę semicką imigrację do Polski, na którą dziś wielu tak narzeka, nie podając wszakże lekarstwa na tę społeczną chorobę. Złożyły się na to wieki, następnie odrębny charakter tej rasy, wydziedziczonej prawie na całym świecie cywilizowanym, a być może nasza nietolerancja religijna, która nam później tyle szkody przyniosła. Wszak w krajach, gdzie żydów nie prześladowują, gdzie im nie odmawiają wszelkich praw obywatelskich, Izraelici, zachowując swoje wyznanie religijne i asymilując się z resztą narodu, nieznacznie tracą nawet wśród ludu swój charakter pijawek-chałaciarzy, a doszedłszy, dzięki wrodzonym tej rasie instyktom, do wielkich bogactw, powiększają nie mi dobrobyt przybranego kraju.

Kwestya żydowska jest kwestyą niewyczerpaną, potrzebującą zdolniejszego od mojego pióra; dlatego, nie wdając się w głębokie rozumowania społeczne, wolę nie odstępować od raz obranego przedmiotu i skreślić charakterystykę dawnego żyda arendarza wiejskiego w gub. Wołyńskiej. Powiadam: dawnego,—z zaprowadzeniem tu bowiem od 1-go lipca 1896 roku rządowego monopola

sprzedaży trunków nasz żydek musiał bezprowrotnie zrezygnować z owego nieodłącznego z jego imieniem tytułu, zdobytego od wieków, a który to tytuł po kilka pokoleń nosiło w jego rodzie. W pojęciu włościanina tutejszego tytuł ten był tak nierozłączny, tak rzeczywiście dla żyda wiejskiego prawomocny, że zdarzało się mnie samemu, w okolicy, gdzie mię nie znano, gdym zapytał: — czyja to wieś? — odbierałem od chłopca następującą odpowiedź: «a, proszę jasnego pana, wieś taka to a taka to Boruchowa lub Moszkowa,» przyczem samego arendarza nazywał po imieniu z przymiotnikiem rodowym od wsi, jakby jakiego najlepiej urodzonego, starego naszego karmazyna. Odpowiedzi takie najczęściej trafiały się we wsiach, nieposiadających oddzielnego folwarku, z których dawniej, przed reformą 1863 roku, włościanie odrabiali pańszczyznę do sąsiedniej oddalonej ekonomii, gdzie zatem nie było ani łąnów, ani budynków dworskich, ani ofycjalistów zarządu skarbowego, gdzie wszystko, co było własnością dziedzica, to jest: arenda propinacyjna, jakiś tam młynek wodny, wiatrak, wapielnia lub cegielnia, zresztą pozostałe od włościańskiego

nadziału ziemie dworskie, od wieków arendowali ów Boruch, Moszko, lub ich prawi sukcesorowie. Ich też miejscowy ciemny chłopiec za swą legalną władzę uznawał, bo mu żydzi imponowali wszystkim, szczególnie wrodzoną inteligencją i sprytem.

Nie należy się też dziwić, że szlachcic ziemianin, mieszkający na wsi, bez żyda obejść się nie mógł. Dawniej, gdyśmy nie mieli tak rozpowszechnionej prasy codziennej, takiej sieci kolejowej, telegraficznej i pocztowej, któż mógł lepiej mu usłużyć od własnego żyda w zakomunikowaniu wszelkich wiadomości, podanych w najprzystępniejszej dla niego formie, zależnej od złego lub dobrego humoru samego jaśnie pana? Któż lepiej mógł porobić sprawunki w miasteczku, nie wymagając na nie naprzód pieniędzy, bo potraci to sobie z kwartalnej raty arendarskiej? Kto mu zgrabniej mógł się dowiedzieć o cenach na produkta rolne? — kto mu na nie lub na las kupca nastreczy? — kto zresztą szlachcicowi dostanie pieniędzy, gdy się okaże potrzeba niezbędnej pożyczki, na opłacenie podatków lub rat bankowych, środków na wyjazd do miasta lub za granicę samego jasnego pana,

jasnej pani, na sprawienie ich imienin, na odesłanie do szkół jasnych paniczów i t. p.? Że żyd arendarz przy tem grosz na groszu zarobi i że wytarguje jeszcze jaki prezencik w przychówku inwentarza lub w ziarnie za fatygę, to nie podlega najmniejszej wątpliwości; ale któż szlachcicowi winien, jeżeli on nie ma przygotowanych pieniędzy na te potrzeby, które powinien był przewidzieć? — jeżeli nie ułożył sobie naprzód obmyślanego budżetu rocznego i jeżeli się kierował naszym odwiecznym polskiem: «jakoś to będzie!» — jeżeli zresztą żyje nad stan? Niezawodnie korzysta z tego wszystkiego sprytny arendarz, który lepiej od samego jasnego pana zna jego nieliczne aktywa i daleko liczniejsze pasywa, i zgrabnie korzysta z trudnej chwili, aby drożej ocenić wyświadczony usługi, wprawdzie nie odmawiając ich nigdy. Tę sprawiedliwość trzeba żydowi przyznać, i przez to właśnie staje się arendarz swemu panu tak nieodzownie potrzebnym. Nikt bowiem lepiej od niego nie pogada z urzędnikiem dla odsunięcia terminu od dawna nakazanej egzekucji podatkowej, nie dowie się w sądzie o przebiegu sprawy, nie dopilnuje przysię-

głego adwokata, mecenasa, podpowiadając mu nawet w czasie posiedzenia, w toku wygłoszenia publicznej obrony, najdobitniejsze motywa do sprawy. On jeden potrafi przygotować świadków, nauczyć ich, jak mają czytać prawdę pod przysięgą zeznawać,—bo nie wypada tego uczynić ani jasnemu panu, ani mecenasowi. Toby mogło posłużyć za jawny powód do kasacyi, gdyby, broń Boże, głupi świadek z tem się wygadał. Tegoczesny bowiem arendarz, lub obecny już tylko skarbowy żyd, do swych zalet powinien dołączyć głęboką i praktyczną znajomość prawa zwyczajowego. Gdy potrzeba jasnemu panu napisać do kogo z sąsiadów w trudnym i zawiłym interesie list, nad którymby się szlachcic dobrze napocił, to posyła on po arendarza, aby się go po cichu poradzić, i zwykle kończy się tem, że żyd jedzie sam, nie z listem, ale z żywym słowem, co zupełnie zadowala obydwie strony—tak piszącą, jak i list odbierającą.

Każde kupno konia do stajni, sztuki inwentarza roboczego, wołów na opas, zamiany nasienia do siewu, dokupna owsa na obroki, wiktuałów na potrzeby domowe, równie

jak i wszelka sprzedaż produktów, tak rolnych, jak i należących do gospodarstwa kołobieckiego, naturalnie dokonywana jest za pośrednictwem arendarza; mimo, że sama jasna pani jest nibyto mu przeciwną i jawnie stara się zmniejszyć wpływ, który on ma na jej męża, jednak w ważniejszych chwilach udaje się do pomocy skarbowego żyda. Niezaprzeczenie, że wszystkie te posługi mógłby a nawet i powinienby dopełnić jaki oficjalista chrześcijanin, którego to jest prostym, służbowym obowiązkiem, — lecz przekonano się, że te posługi są daleko droższe i nigdy tak skuteczne. Oficjalista bowiem wyjeżdża czwórka, co najmniej parą dworskich koni, potrzebuje fornala do usługi, a w końcu nie potrafi dostąpić, że tak powiem, wyjęzyczyć się przed powiatowym lub sądowym dygnitarzem, gdyż obawia się jego oficjalnej postawy i buty, które mu nadzwyczaj imponują; wraca też najczęściej z niczem. Nawet gdy staje jako świadek w sądzie pokoju, w najzwyczajszej nawet sprawie, to po cichu należy za nim wyprawić żyda, aby ten go dopilnował przy składaniu świadectwa o prawdzie, tak mu bowiem majestat sądu impo-

nuje, że po prostu przed nim języka w gębie zapomina. Żyd zaś nigdy i nigdzie konwentansu nie straci. Niewpuszczony drzwiami od ulicy, wlezie przez drzwi od kuchni, zdobywszy sobie naprzód stosunczki ze służbą; potrafi pozyskać dla siebie za pomocą lekkiego prezenciku, składającego się nibyto z produktów wiejskich, żonę pana urzędnika, która mu sama wyrobi swobodną audyencyę u męża, w czasie której on wszystko najjaśniej, najkategoryczniej, ze wszelkimi szczegółami opowie, kładąc nacisk właśnie na te szczegóły, które są najpotrzebniejsze w sprawie jego jasnego pana. Warto przytem słyszeć obrazowość jego opowiadania, jego gesty, jego mimikę i w jakich czarnych kolorach wystawia on przeciwnika swego skarbu, jak ponętnie potrafi przedstawić niechybną wdzięczność swego jasnego pana.

Ekspedycye odbywa jednokonnym wózkiem lub dwukołową biedką, bez wielkich jednorazowych kosztów, które w rezultacie podwoją się przez zgrabnie wyludzony prezencik lub obietnicę przezimowania na oborze dworskiej jakich paru cieliczek, będących rzeczywiście dojnemi krowami, lub pozwolenie

korzystania w zimie z pośladów i zgonin z dworskiego gumna. Lecz interes został dobrze i prędko załatwiony, o co najbardziej szlachcicowi chodziło. Tym sposobem on się nawet nie domyśla, że sam ze swą osobą i całą swą rodziną pozostaje rzeczywiście w arendzie u swego żyda, gdyż ten wobec swych współwyznawców rozciągnął nad nim i nad wszystkimi jego interesami formalny monopol, silnie przestrzegany przez ich prawa religijne. Technicznie w żargonie żydowskim zwie się to *chazukes*,— a równa się znanemu *tabu*, będącemu we zwyczaju u dzikich wyspiarzy Polinezyi. Żaden żyd, w szerokim promieniu od miejsca zamieszkania szlachcica, nie ośmieli się tego zakazu przekroczyć, pod obawą sądu i religijnej klątwy u rabina. Od każdego bowiem interesu, zawartego przez innego nawet żyda z tym szlachcicem w jego dobrach lub poza ich granicą, kontrahent obowiązany jest arendarzowi, a jak dziś skarbowemu żydowi, zapłacić umówiony procent, od czego mu nawet na myśl nie przyjdzie się uchylić.

Stosunki owe są dziwne, a nawet ponieważ i śmieszne w dzisiejszym świecie, nibyto

cywilizowanym. Tutejsza ludność żydowska, żyjąca, jak pasożyty, z najżywotniejszych soków naszej szlachty, od dawna je wprowadziła w życie, a coraz bardziej obostrzone prawa restrykcyjne przeciw żydom stosunki te stopniowo, bardzo zgrabnie zacieśniały, tak, że strona wyzyskiwana nawet się tego nie domyślała.

O żydowskim wyzyskiwaniu chłopów tu nie mówię, gdyż to stanowi odrębną zupełnie kwestyę, wymagającą poważniejszego studyum,— od wieków to bowiem ujemnie wpływało na moralność ludu wiejskiego. Wprowadzony od przeszło dwóch lat w gub. Wołyńskiej rządowy monopol sprzedaży trunków niezaprzeczenie zadał ostateczny cios temu zgubnemu żydowskiemu wpływowi, i to właśnie byłoby najdotatniejszą stroną tego rządowego systemu, lecz drobni handlarze żydowscy (bo wielcy kapitaliści stanowią odrębną kategorię) z podwójną energią zabrali się do eksploataowania szlachty, co pod pewnym względem zupełnie jest naturalnem i tłumaczy się tem, że i oni żyć i zarabiać potrzebują dla wyżywienia swych licznych rodzin i dla opłacenia podatków państwowych,

daleko wyższych, niż dla innych klas ludności,— chrześcijanie bowiem nie opłacają podatku konsumpcyjnego od mięsa koszernego, czyli t. zw. *krużki*, i od świec szabasowych. Wszystkie zaś sposoby zarobkowania zostały żydom w ostatnich latach kilkunastu stopniowo wzbronione. Nie wolno im dóbr i wogóle ziemi dzierżawić, — co, podług mnie, jest dla dobra kraju, bo widzimy, co pod tym względem dzieje się w Galicyi. Nie wolno im zajmować się gorzelnictwem, piwowarstwem, miodosytnictwem, a szczególnie rozprzedażą czyli szynkowaniem trunków,— co ze względu umoralnienia ludu zasługuje na zupełną pochwałę. Następnie zabroniono im dzierżawić młyny wodne, wiatraki, cegielnie, wapiernie, smolarnie, dystylarnie terpentyny i t. p. drobne zakłady przemysłowe, położone poza ciasnym obrębem miast i miasteczek; później kazano im w terminie półrocznym opuścić zajmowane od wieków mieszkania po wsiach.

Skreśliłem tu, o ile mi się udało najszczegółowiej, stosunek wiejskiego szlachcica do wiejskiego żyda, dawniejszego miejscowego arendarza. Pozostaje tylko do życzenia, aby te wyzyskujące stosunki nie przybrały

zanadto groźnych rozmiarów. Dotąd, niestety, widzieliśmy często, że ów pokorny i usłużny żydek przebiegłością i mrówczą pracą powoli, stopniowo oszczędził pewną sumkę. Gdy ta przybierała poważniejsze rozmiary (nie mówiąc już o lichwie, którą zawsze pokątnie się bawił), puszczał ją w handel, skupując zboże, materiały leśne, a później już i całe okoliczne lasy na wyrąb. Tu już zwykle fortuna jego rosła jak na drożdżach. Następnie, w ostatnich szczególnie czasach, będąc już poważnym kapitalistą, zwracał się do handlu cukrem; z początku w spółce z innymi, później sam nabywał jaką fabrykę cukru, zgrabnie i umiejętnie obchodząc prawo, bo i ten proceder jest żydom wzbroniony pod własną ich firmą. Stanowi on jednak obecnie szczyt ich marzenia, jako dający możliwość rozległego handlu, dotąd bardzo korzystnego i silnie protegowanego przez ministerium skarbu. Dawny zaś jego jasny pan, któremu przed niedawnymi laty ów żydek, dziś poważny kupiec pierwszej gildyi, tak wiernie służył, sam stopniowo ubożał; nieraz, przyciśnięty okolicznościami, wyzuwał się ze swej ojcowizny, która niepowrotnie z jego rąk wy-

chodziła. Bardzo rzadko ów dawny żydek zachowywał pewien rodzaj wdzięczności dla swego dawnego chlebowdawcy, który bezwiednie, pomalu stawał się jego ofiarą, — lecz zdarzały się i takie przykłady, które sam pamiętam. W każdym razie, choć wdzięczność jest pięknem uczuciem, smutno o tem wspominać, bo zawsze przywodzi nam to na myśl upadek jakiego starszlacheckiego rodu, stanowiący niepowetowaną stratę dla naszego społeczeństwa.

A jednak ów typ żyda-pijawki, ssącego najżywotniejsze soki z miejscowego szlachcica, nie przestał u nas istnieć i stał się niejako nieodzowną potrzebą naszego bytu wiejskiego. Chcąc, by było inaczej, należałoby chyba zmienić nie tylko nasze stosunki społeczne, ale i wewnętrzne nasze usposobienie. Pewna niezaradność i niezdarność główną są tego przyczyną.

MISZURES.

Cewny jestem, że się nie znajdzie nikt z zamieszkujących prowincye południowo-zachodnie Cesarstwa, a nawet sąsiednie powiaty gub. Grodzieńskiej i Wileńskiej, któryby nie zrozumiał znaczenia tego słowa, pochodzącego wprawdzie z żargonu żydowskiego, ale które już zdobyło zupełne prawo obywatelstwa w gub. Wołyńskiej. Jest to bowiem pierwszy wykrzyknik podróznego, zmęczonego wybojami i brukiem od siedmiu boleści naszych miasteczek prowincjonalnych, gdy rozprostowując kości, wysiada z bryczki na podsieniu zajazdu żydowskiego.

Zajazdy te mają także swą odrębną, zupełnie charakterystyczną cechę—zbudowane są bowiem wedle wzorów izraelskiej architektury, zaaklimatyzowanej od wieków w naszym kraju, ale która coraz bardziej w ostatnich

czasach się zaciera. Po każdym bowiem groźnym pożarze, niszczącym tak często tutejsze miasta i miasteczka, odradzają się one z zaskakującą szybkością, jak Feniks z popiołów, lecz z odmiennym zupełnie typem i wyglądem.

Bezpowrotnie znikają charakterystyczne żydowskie zajazdy i karczmy dawnego typu, a na ich miejsce wznoszą się pseudo-hotele z szumnymi nazwami: «Pariżskaja,» «Jewropejskaja,» «Francuzskaja,» «Berlińskaja» i nie wiem tam już jaka gostinnica. Trafiają się nawet hotele: «Victoria» i «Belle-Vue,» gdyż każdy żyd, odbudowujący się po pożarze, stawia dom w guście nibyto nowożytnym, z ogrzanyimi kurytarzami, jakiemiś cudackimi oknami, dość przyzwoitymi numerami zajazdnymi dla podróżnych i stajnią dla koni w osobnym budynku, podług teraźniejszych wymagań, czem, wedle swego pojęcia, więcej gości przyciągnie.

Dawniej bowiem zajazd vel karczma, tak w mieście, jak i na bardziej uczęszczanych traktach, które rzeczywiście zajazdami ze starego autoramentu nazwaćby należało, był to ogromny budynek, z szeroką wjazdową od

frontu bramą i sienią — ciemną jak czeluść piekielna, kończącą się obszerną stajnią, tak szeroką, aby w niej liczne zaprzęgi podróżnych gości, a szczególnie ogromne ich landary i długie szarabany, nie tylko pomieścić, lecz i swobodnie obrócić się mogły.

W końcu tej olbrzymiej sieni, a raczej szopy, gdzie wiało jak na stepie, były drugie, szerokie wrota, na noc szczelnie drągiem podpierane, w obawie od złodziei.

Od strony zaś rynku miasteczkowego lub traktu, odgrodzonego czasem sztachetkami, co już stanowiło pewien rodzaj elegancyi, ciągnął się po obydwu stronach sieni szereg pokoi gościnnych, z których dwa pierwsze, na prawo i lewo od wjazdu, były tak zwane stancye frontowe, przeznaczone tylko dla *honoratiore*s, to jest dla osiadłego wiejskiego obywatelstwa, odwiecznych klientów tego domu, lub dla wysokich urzędników, przyjeżdżających czasem z miasta gubernialnego na re wizyę. Dla nich bowiem policmajster, t. zw. wówczas horodniczy, te pokoje sposobem rekwizycyjnym zajmował, stawiając wtedy u ich drzwi na warcie pacholka policyjnego, zwanego dziesiątnikiem.

Za każdą ze stancyi frontowych, nibyto lepiej umebrowanych i przyozdobionych w kosszlawe zwierciadła, popstrzone od much firan-ki, jakieś tam odwieczne landszafty, a czasem nawet doniczki z rachitycznymi kwiatami, było jeszcze po dwa lub trzy pokoje, szeregiem łączące się pomiędzy sobą, coraz mniejsze, coraz brudniejsze i ciemniejsze, przeznaczone dla służby jasnych państwa, którzy całą stronę zajazdu zajęli, lub dla uboższych podróżnych, niemogących nawet marzyć o rozkoszach stancyi frontowej.

Sam żyd gospodarz, godna jego połowica, lub nawet jego zastępca «miszures,» doskonale rozumieli to heraldyczne stopniowanie podróżującego społeczeństwa. Nigdyby nie wprowadzili drobnego dziedzica-kolokatora, lub dworskiego oficjalisty, do stancyi frontowej.

Dla takich podróżnych zupełnie był wystarczającym trzeci lub czwarty z rzędu pokojik, gdzie równie wygodnie, przy łożówce, na świeżej słomie, można było przenocować za 15 kopiejek, lub nawet, potargowawszy się, i za 10, wtedy, kiedy stancya frontowa nie szła nigdy taniej, jak 30 kopiejek, a nawet

czasem i pół rubelka, co już zupełnie zależało od dobrego humoru i hojności samego jasnego pana lub jasnej pani. Gospodarz bowiem, szczególnie jej żona, byli to zwykle ludzie bardzo delikatni, obyci z wielkiem państwem, jednym słowem znający w tej sferze swoje zadanie, dlatego też doskonale rozumieli zwyczaję światowe i odpowiadali zawsze na zapytanie: «Ile się za stancyę należy?» stereotypową utartą frazą:

— Co łaska jasnych państwa...

I nigdy źle na tem nie wychodzili.

Lecz za to na odjeźdźnym, w chwili wsiadania do powozu, przy uniżonem pożegnaniu i życzeniu złota milionów i szczęśliwej podróży, przystępując do rachunków, jak umieli ci żydzi pisać kredką na rogu brudnego stołu wysokie ceny za każdą niedomierzoną ćwierć owsa napół z groszkiem i plewą, każdą wiązeczkę siana, nie większą od bochenka chleba, cienkie kule słomy na podściół dla koni, łożówki do latarki stajennej, każde nastawienie samowara do herbaty i małą szklaneczkę nibyto śmietanki, która była prostem, wodą rozcieńczonem mlekiem. Jak przytem ci żydzi zwracali uwagę jasnych państwa, że nic nie

policzono za drewka na kominie, za świeże siano, na którym jasne państwo tak spokojnie, tak delikatnie, na zdrowie sobie całą noc spali, bez żadnych pcheł, a broń Boże, plu-skiew, — bo tego, chwalić Boga, nigdzie się nie widzi w takim porządnym zajeździe.

Na podobnych więc rachunkach prze-ważnie polegał główny zarobek owego ży-dowskiego, a w owych czasach bardzo do-nośnego procederu. O innych rachunkach nie było nawet mowy, — wszystko bowiem należało z sobą wozić, w obawie niechybne-go głodu.

Dach nad głową, siano na pościel i drew-ka na opał do dymiącego zwykle pieca—to jedno, czego zwyczaj pozwalał legalnie wy-magać od właściciela zajazdu; a jeżeli po prze-ziębnięciu w drodze rozpalono ogień na ko-minku, to już było szczytem komfortu. Ku-charz podróżny przyrządzał jedzenie na ku-chencę, umieszczonej w końcu sieni i niczem nie zasłoniętej od wiatru. Trzeba było pra-wdziwego talentu kulinarnego, aby coś w po-dobnych warunkach spreparować.

Konie umieszczano przy lichych żłobach, powozy zataczano do tej niezgłębionej czelu-

ści, zwanej sienią. Służba stajenna, zwykle liczna w czasie ówczesnych podróży, mimo wiatru i mrozu, w nocy spoczywała na zie-mi przy powozach, w obawie, aby czasem fartuchów nie ponadcinano, i musiała kolej-no zaciągać wartość od złodziei.

Służba pokojowa i garderobiana mieści-ła się jako tako obok państwa, w tylnych izdebkach od frontowej stancyi, bo wszyst-kie kąty zajęte były licznymi rekwizytami po-dróżniami i naczyniem kredensowem.

Sami państwo mieszkali i gości przyj-mowali w niedawno cuchnącym żydowskim pokoju, oświetconym teraz jarzącymi wosko-wymi świecami, który naprędce wykadzono bursztynem lub trociczkami, trochę podmie-ciono, wysłano podłogę dywanami, a ściany obwieszono podróżniami makatami, tak, że dość porządnie, jak to Niemcy powiadają, «heimlich» wyglądał.

Przepędzało się w takich mieszkaniach po kilka, a nawet w czasie dorocznych kon-traktów dubieńskich po kilkanaście dni.

Wtedy na podsieniu paliła się wielka la-tarnia o kilku łożówkach, dostarczona przez

gospodarza. Służba przystroiła trochę podjazd w świeże gałęzie sośniny, przyczem stawiano na warcie ogromnego, sążnistego kozaka dworskiego, ubranego w barwę herbową, mającego nie dopuszczać gawiedzi żydowskiej, cisnącej się z drobnymi towarami do drzwi i okien.

Sam jeszcze pamiętam, jak w takich przystrojonych i wyświeżonych zajazdach przepędzaliśmy z całą rodziną przed pięćdziesięciu kilku laty najweselsze chwile karnawałowe, jak się wtedy wesoło i ochoczo bawiono, jak się wzajemnie odwiedzano, jak w owych sławnych frontowych stancyach przyjmowano wykwiłtne i doborowe towarzystwo damskie i męskie, które się co rok na zimę tu zjeżdżało z różnych stron kraju; jakie się tu kojarzyły małżeństwa, jakie tu układano projekty na mające się odbyć bale, pikniki na sali reductowej lub szlichtady, przy wesołym losowaniu, jaki mężczyzna którą damę lub pannę swemi saneczkami na spacer powiezie.

Dziś, patrząc w Dubnie na ten szereg brudnych i odrapanych zajazdów żydowskich, rzeczywiście, że temu wierzyć się nie chce,— bo dziś na każdym kroku wymaga się nie-

odzownego i kosztownego komfortu. Przed laty jednak byliśmy daleko mniej wybredni i dlatego za młodu używaliśmy trochę światła, wesołości i zabawy, nie szukając koniecznie kosztownych karnawałów wielkemiejskich lub stołecznych.

W takim jednak żydowskim zajeździe, przekształconym chwilowo na wielkopańską rezydencję, ów tradycyjalny miszures, o którym właśnie chcę mówić, odgrywał bardzo ważną, choć w rzeczy samej nader podrzędną rolę. Był on co chwila wzywany i posyłany na wszystkie strony. Od rana do późnej nocy wołanie: «Miszures! miszures!» rozlegało się po całym domu. Spełniał on bowiem w tym quasi-hotelu funkcyę szwajcara, sekretarza zarządu, reprezentowanego przez samego żyda-gospodarza, ober-kelnera, zawiadującego bufetem, to jest samowarami, komisyonera-stręczyciela wszystkich interesów i nowinek miejskich, jednym słowem funkcyę osobistości, bez której nikomu na krok ruszyć się było niepodobna.

W zatłuszczonej jarmulce, podkasanym chałacie, obłożony po kolana, z nadzwyczaj sprytnym, filuternym, a raczej lądackim wy-

razem twarzy, o czarnych, biegających oczach, był on gotów na zawołanie każdego, począwszy od samego jasnego pana, jego dostojnej rodziny i gości, a kończąc na służbowym kozaku dworskim, który się nim wyryczał, nazywając go nie inaczej, jak parszywym żydem, i często, dla pośpiechu, szturchańcem w bok częstując.

Miszures za nic się nie gniewał, za nic się właściwie nie obrażał, podwładnym tylko ostro się odcinał, lecz ze wszystkiego korzystał i na wszystkim zarabiał. Nic bowiem w całym domu nie było sprzedanem, nic nie mogło być kupionem przez zajezdnych gości, choćby poza domem, na mieście, od czego by miszures nie pobierał pewnego procentu, uświęconego zwyczajem i tradycją żydowską.

Procent ten był nadzwyczaj lichy i drobny, ale z drobnych źródeł i strumieni zwykle powstaje potężna rzeka bogactw przyszelego kapitalisty.

Iluż to ja w mem życiu spotykałem nędznych, obdartych miszuresów, którzy po pewnym przeciągu lat wyszli na prawdziwe potęgi finansowe! Ileż to jednak należało mieć sprytu i przytomności umysłu, aby w czasie

takiego zgielku jarmarkowego lub kontraktowego nie opuścić żadnej dokonanej, choćby najdrobniejszej tranzakcyi, i od każdej wyegzekwować dla siebie legalnie należny procent!

Miszures znaczy w żargonie żydowskim posługacz, tak jak bałabuste—gospodyni, a bałagula—furman, woźnica. To najlepiej określa etymologię funkcyi miszuresa. Był to w rzeczy samej sługa sług wszelkiego rodzaju, ale przewyższający ich wszystkich, raczej dominujący nad nimi swym wrodzonym lajdackim sprytem, bez czego w każdym razie nie mógłby być miszuresem. Gotowym był bowiem do wszelkich godziwych i niegodziwych posług, wiedząc doskonale, że niegodziwości daleko lepiej się oplacają.

Sam żyd-gospodarz niewysoko go cenił jako człowieka i miał bardzo niskie pojęcie o jego moralności, lecz czuł, że się bez niego obejść nie może, bo ten żwawy a szczególnie sprytny miszures był najlepszą reklamą jego zajazdu. W poufnych rozmowach z jasnym panem gospodarz nieraz się zwierzał, że swym miszuresem, jako człowiekiem, pogardzał, na samo jego wspomnienie splu-

wał z oburzeniem, choćby już dlatego, że szabasów ściśle nie obserwuje, że w sobotę lata z zapaloną latarnią, że jada trefną strawę, jednym słowem dlatego, że nie był prawowiernym żydem wedle dawnego rytuału.

A tymczasem nim się posługiwał, najcyniczniej go wyzyskiwał i ani grosza mu pensyi nie płacił; często nawet w bardziej uczęszczanych zajazdach pobierał od niego pewną nieznaczną opłatę za to, że mu pozwalał być miszuresem u siebie.

On zaś musiał również bezpłatnie trzymać już ze swej ręki stróża chrześcijanina, zwykle wielkiego pijaka, do wszelkich najgrubszych posług, jak do noszenia wody ze studni, palenia we wszystkich piecach, zamiatania sieni podjazdowej, a czasem i stajni i t. p., upominając się na wyjeźdźnym u gości o napiwek dla stróża. Zdarzało się też często, że miszures utrzymywał jednego lub dwóch żydków pomocników, układając ich przedwcześnie do tego szlachetnego fachu, gdyż sam nie był w stanie wydołać całej domowej posłudze, szczególnie przy licznych zjeździe gości. Trudno już było dojść, jakie były rachunki pomiędzy owym pryncypałem

i jego podwładnymi, dość, że cały ten personel służbowy żydowskiego zajazdu pozostawał na zawołanie i rozkazy gospodarza i że złamanego szeląga nie kosztował.

Na czem właściwie zależały posługi takiego miszuresa? Na wszystkim i na niczem, bo są one wprost niepodobne do określenia. Zaczynał dzień od otwierania okienic we frontowych stancyach, natychmiast po przebudzeniu się jasnych państwa, i od zawołania żydka od piekarza z bułkami i obwarzankami do herbaty.

Jeden z miszuresów nieodmiennie musiał wyczekiwać w sieniach na każde zawołanie gości i ich służby, bo to groziło odmówieniem napiwku na odjeźdźnym.

Musiał więc, jak zagorzały, latać po mieście z różnemi poleceniami, choćby najdalej i choćby w najciemniejszą noc, sprowadzać kupców z lokciowymi, galanteryjnymi i innymi drobnymi towarami, dopomagać w wytargowaniu przystępnej ceny, stręczyć nabywców na wszelkie produkta rolne i wiejskie, jakieby tylko jasnemu panu podobało się sprzedać, namawiać kupców do ofiarowa-

nia najwyższej ceny, bo i od tego się procent jemu, miszuresowi, należał.

Powstawał przytem nieraz w ciasnym pokoiku taki gwar, taki hałas, a szczególnie taki zaduch, że wypadalo wszystkich sprzedających i kupujących wprost za drzwi wyrzucać, w czem miszures gorliwie służbie dopomagał, krzycząc sam najgłośniej.

Biegał z polecenia jasnego pana po urzędnikach, dowiadując się sekretnie, o której godzinie w domu ich zastać można. Wyrabiał w policyi i kaznaczejstwie (kasa rządowa) tak zwaną podorożną, to jest bilet, a raczej świadectwo za taksą na prawo pobierania koni pocztowych i sprowadzał do zajazdu konie z miejscowej poczty dla zakładania ich do pańskich powozów, jeżeli się stąd z miasta jechało wprost w dalszą drogę.

To było jednym z najkorzystniejszych jego zajęć, bo zwykle jakie parę rubelków przy tem zarobił, a czasem i daleko więcej, najbezczelniej kłamiąc o różnych napotykanym trudnościach: że pana horodniczego, kapitana-sprawnika lub kasyera już w urządzie nie zastał, że jeszcze spali po obiedzie, lub

że musiał latać po pana sekretarza, mieszkającego gdzieś na końcu miasta.

Ale wszelkie posługi, oddawane ludziom poważnym, statecznym, żonatym, były niczem wobec stosunków sprytnego miszuresa do bogatej młodzieży ówczesnej, którą dziśby niechybnie złotą młodzieżą nazywano. W owej epoce wszyscy oni trącili nieco bałagultwem, a jeżeli niezupełnie solidaryzowali się z owem wstrętnem stowarzyszeniem, to z pewnością bez żadnego rachunku szastali i sypali pieniędzmi, których zawsze pewna część dostawała się miszuresowi, jeżeli tylko umiał być sprytnym, śmiałym, a nawet cynicznym i nie bardzo drażliwym na wszystko, co go na takiej służbie spotykało.

Służba zaś ta nie bywała łatwą: nieustannie należało być nadzwyczaj uważnym, aby w lot pochwycić rozkaz takiego rozba-wionego panicza, dany nieraz skinieniem, na migi, gdyż i łatwo tu było oberwać bolesne ciągi, za które, broń Boże, i skrzywić się nie wypadalo. Rzucano bowiem często w nagrodę miszuresowi kilka złotych peców (pólimperyałów), lub garść karbowanych srebrnych rubli, co w każdym razie było nie do po-

gardzenia, bo stanowiło piękny zarobek dla biednego żydka.

Trudno i niepodobna tu opisać wszelkie posługi, wymagane przez ową rozpróżniczoną młodzież od miszuresów, którzy byli istnymi męczennikami.

Cisnęli się oni jednak skwapliwie do tej służby, nadzwyczaj korzystnej. Za żadne skarby świata nie daliby się innemu żydkowi wyręczyć przy takim paniczu, najnieogłędniej szafującym pieniędzmi, gdyż oni go naturalnie na wszelkie sposoby wyzyskiwali.

Urządzane przez młodzież gdzieś w tylnych izdebkach żydowskich zajazdów wieczorki, przy szczelnie zamkniętych okiennicach, były jedną z najgłówniejszych i najbardziej korzystnych atrybucyi miszuresa, w czem nie dalby się komu innemu zastąpić, gdyż rozszalała i podochocona młodzież bez żadnej rachuby rzucała pieniędzmi, które żydek naturalnie w lot chwycił, sam zawsze będąc trzeźwym, choć go do sutych libacyi przymocą zmuszano.

Trzeba było przytem widzieć, jak zgrabnie odkorkowywał butelki szampana i angielskiego portera, będącego wówczas w mo-

dzie, jak zajadał włoskie salami i ser szwajcarski, drwiąc sobie z przepisów talmudycznych, i jakich używał sposobów i conceptów dla rozbawienia swoich paniczów.

Ale i inne posługi, przeważnie nibyto zabawne sztuki, z których każdy z miszuresów posiadał jakąś znaną specjalność, przynosiły im niemałe dochody. Jeden z nich n. p. znakomicie naśladował pianie koguta, czem budził wśród nocy i pobudzał do piania wszystkie koguty w mieście. Drugi do tego stopnia doskonale naśladował głos pewnego Niemca, że gdy zakradłszy się w czasie przechodzenia jakiego oddziału wojskowego ochryplym głosem gdzieś z za kąta wrzaśnie tradycyjne: «Zdorowo rebiata!» (Jak się macie, dzieci), to wszyscy żołnierze w szeregu unisono odpowiadają:

— Zdrawia żelajem Waszemu Prewoschoditielstwu! (Życzymy zdrowia Waszej Ekscelency).

Ów miszures nieraz już srogo obrywał za tę sztukę od wojskowej komendy, pakowano go nawet na kordegarde, mimo to swą sztukę zawsze na każde zawołanie młodzieży

powtarzał, bo pokusa rubelków była zanadto silną.

Inny znowu nibyto celnie strzelał z pistoletu, przyczem, będąc tchórzem z natury, wyprawiał dziwne sztuki i kontorsye twarzy, zanim się do strzału zdecydował.

Baługuli znowu zmuszali miszuresów do jeżdżenia konno na ostrych i narowistych koniach i do brania udziału w charciem polowaniu przy szczuciu zająca lub lisa w czystem polu.

Wiadomo, że żaden Izraelita nigdy nie będzie dobrym jeźdźcem,—ale czegooby chciwy żyd nie zrobił dla pieniędzy, wiedząc doskonale, że mu się to suto opłaci?

Panicze, w przystępie pustej wesołości, wymyślali rozmaite zakłady z miszuresami, zachęcając ich do sztuk nieraz karkołomnych widokiem ponętnej kupki srebra, oddanej w ich oczach dla pewności komuś z poważniejszych osób w ręce. Proponowano im n. p. w pokoju o bardzo gładkiej posadzce wskoczyć z rozpędu równemi nogami na skórzaną poduszkę, za co mieli otrzymać tę nęcącą srebrną premię.

Naturalnie poduszka z pod nóg się usuwała i każdy z nich jak długi padał na ziemię; mimo to, powtarzali próbę, póki ich z pokoju nie wyrzucono.

Zakładano się również z miszuresami o wypicie 20 lub 25 szklanek wody, jedną po drugiej, bez odpoczynku, bez przerwy, w przeciągu n. p. kwadransa, naznaczając za pierwszą szklankę dajmy na to 15 kopiejek i dublując cenę każdej następnej szklanki w progresyi arytmetycznej.

Formowała się z tego dość pokaźna sumka, na którą wesoła młodzież wśród śmiechu i żartów się składała i która, leżąc w gotówce na stole, niesłychanie nęciła miszuresa.

Pił więc żydek z początku z łatwością, ufając w swe siły, później z przymusu lał w siebie, jak w beczkę, lecz nigdy prawie nie wygrał podobnie szalonego zakładu. Sam byłem kiedyś świadkiem, jak zatrzymawszy się na przedostatniej szklance, nie mógł przemódz swego wstrętu, z rozpaczą i ze wstydem uciekł z pokoju i rozchorował się na groźny tyfus, z którego go zaledwie, naturalnie kosztem złotej młodzieży, potrafiiono uratować.

Bogaci młodzi panicze tutejsi, którzy wskutek Najwyższego rozkazu, wydanego za czasów generał-gubernatora Bibikowa około roku 1848, zmuszeni byli służyć wojsko-wo i naturalnie obierali świetne huzarskie i ułańskie pułki, konsystujące w naszych guberniach — stanowili bardzo dochodną klientelę dla miszuresów, którzy oprócz wszelkich godziwych i niegodziwych posług, pobieżnie tu opisanych, służyli im jeszcze drobnym lichwiarskim kredytem do czasu, póki takiemu junkrowi lub młodemu chorążemu pieniędzy z domu nie nadeślą.

Miszuresi pobierali od nich zwykle po kopiejce lub półtorej kopiejki od rubla na tydzień. Nie wydawało się to zbyt strasznie; młodzieniec, nie zastanawiając się nawet nad wysokością lichwy, z chęcią na podobny układ przystawał. Lecz wkrótce wyrastały z tego znaczne sumy, dopisywane na samym rewersie, które choćby nawet obciążono przy wypłaceniu przez ojców lub opiekunów, od razu wzbogacały podobnego miszuresa, który porzucał swe rzemiosło miszuresowskie i stawał się już samoistnym kupcem-lichwarzem.

Tak, albo inaczej, owa klasa żydowskich pasożytów, odjąwszy to, co w nich było rzeczywiście szkodliwym dla społeczeństwa, oddawała w życiu codziennym spokojnemu podróżnemu, przyjeżdżającemu do miasta, rzeczywiste usługi i stawała się niemal niezbędną przy ówczesnych stosunkach społecznych.

W głębi Rosyi, za Dnieprem, gdzie dawniej żydów zupełnie nie było, niezmiernie czuło się brak naszego ruchliwego i usługowego miszuresa. Sam tego doświadczyłem przed rokiem 1859, włączając się po tamtejszych miastach i głównych końskich jarmarkach w charakterze oficera-remontiera od huzarów.

Dziś już te typy powoli bezpowrotnie znikają. Dawne zajazdy prowincjonalne zamieniają się, jak mówiłem wyżej, na quasi-hotele, o szumnych, mniej więcej wyszukanych nazwach. Usługują w nich krótko, z niemiecka ubrani kelnerzy i komisanci pochodzenia semickiego, którzyby się już wprost obrazili, gdyby ich miszuresami nazywano.

Wątpię jednak bardzo, aby moralność była im cokolwiek zyskała.

K O N I E C.



102572

SPIS RZECZY.

I.	Wielka pani polska	5
II.	Marszałek powiatowy	33
III.	Ksiądz kapelan	55
IV.	Organista	71
V.	Lekarz nadworny	93
VI.	Furman	111
VII.	Dawny kupiec leśny (Rzut oka na handel le- śny w gub. Wołyńskiej)	133
VIII.	Pobereźnik (Gajowy)	167
IX.	Arendarz	199
X.	Miszures	217

